

BIBLIOTECZKA INFORMATORA
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
W OLSZTYNIE

WACŁAW GOŁOWICZ

GŁĘBOKI TEREN



OLSZTYN
1961

Dokumenty życia społecznego

BIBLIOTECZKA INFORMATORA
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
W OLSZTYNIE

WACŁAW GOŁOWICZ

GŁĘBOKI TEREN

Do użytku wewnętrznego

OLSZTYN
1961

R e d a k t o r

Jan Burakowski

Kolegium Redakcyjne: Stanisława Badowska, Jan Burakowski, Wanda
Dąbrowska, Halina Giżyńska, Antoni Narwoysz,
Tamara Wajsbrot, Jan Wróblewski.

Nakład - 500 egz.



W. G. Stovick

Stovick

Stovick

T R E Ś Ć

	Str.
Jan Burakowski - Kilka słów zamiast wstępu	5
Jan Wróblewski - O Wacławie Gołowiczu	6
 <u>Prace Wacława Gołowicza:</u>	
Z historii ziemi mragowskiej. Mragowo dzisiaj	8
14 lat pracy bibliotek powiatu mragowskiego	11
Bibliotekarka gromadzka	14
Kierunek - czytelnice	17
Teren... /wspomnienia/	20
Gizela Makarowska - O mojej pracy w Bibliotece	36

Trudno powiedzieć, że Mrągowo i jego okolice są mało znane w Polsce. Powiat mrągowski przecież to Mikołajki - jedna z kilku „letnich stolic Polski”, to najpiękniejszy w Polsce szlak kajakowy z Sorkwit przez Krutynię na Bełdan, to wreszcie egzotyka Wojnowa i Ukty z ich Filiponami. W każdym sezonie letnim przepływa przez szlaki turystyczne powiatu wielotysięczny tłum wczasowiczów i turystów. Zachwyca się ich pięknem, ogląda „ogiera sielawowego” w Mikołajkach, oblega restauracje i stacje wodne, zrywa na Krutyni chronione prawem kwiaty nenufarów. W centralnych pismach od „Przeglądu Kulturalnego” do „Przekroju” i „Dookoła świata” zjawiają się liczne artykuły o Mazurach: że to ziemia staropolska, że Krutynia jest piękna, że wandale zrywają kwiaty i płoszą ptaki, że w Wojnowie żyją Filiponi, że restauracje i sklepy są dobrze /lub źle/ zaopatrzone. Pierwsze jesienne chłody wymiatają z Mikołajek i Krutyni turystów, a z nimi i „problematykę mazurską” ze szpalt prasy. Kończy się sezon turystyczny, lecz pozostają liczne problemy, trudności i konflikty, codzienne smutki i radości tej ziemi.

Koniec sezonu turystycznego to dla bibliotek początek jesienno-zimowego sezonu czytelniczego, początek okresu wytężonej pracy. Jak zdobyć więcej niż w ubiegłym roku czytelników, jak spopularyzować wciąż za mało czytaną literaturę niebeletrystyczną, jak „wywalczyć” fundusze na dodatkowy zakup książek, wyposażenie czytelni, remont lokalu.... To są troski bibliotekarzy, gorących patriotów tej ziemi: Mazurki z dziada pradziada - Hildegardy Müllerowej z Sorkwit, Filiponki - Gizeli Makarowskiej ze Starej Ukty, urodzonej na Kurpiach mieszkanki Nawiad - Wiktorii Grabowskiej i gospodarza bibliotek mrągowskich - Wacława Gołowicza - syna chłopa z pow. makowskiego.

Ten zeszyt mówi o ich codziennych kłopotach, o zwycięstwach i klęskach w pracy na trudnym terenie. Przeczytajcie o nich uważnie - w szkicach tych kryje się część prawdy o tej ziemi.

Jan Burakowski

O WACŁAWIE GOŁOWICZU

Pewnego letniego popołudnia 1949 roku referent /IX grupa uposażenia/ Zarządu Gminnego gminy Grzęda z siedzibą w Bisztynku /pow. Biskupiec/ powracał z powiatu z miną nadzwyczaj zadowoloną. Niektórzy, widząc na jego barkach sporą paczkę, zaczęli snuć na ten temat różne domysły. Najbliższe zaś sąsiadki pod jakimiś naprędce wymyślonymi pretekstami zaczęły tłumnie odwiedzać jego żonę. I tu spotkało je rozczarowanie. Co prawda, jak twierdził pan referent, paczka ta była bardzo cenna, ale nie pochodziła, jak się początkowo domyślano z Ameryki, ale z Biskupca, od p. Bartkowskiej, kierowniczkii biblioteki powiatowej, i zawierała ładne i ciekawe książki. Te książki miał wypożyczać wszystkim chętnym mieszkańcom pan referent już jako kierownik punktu bibliotecznego w Bisztynku. I tak zaczęła się bibliotekarska kariera Wacława Gołowicza, obecnego kierownika biblioteki powiatowej w Mrągowie.

Co prawda zamiłowanie do książek u Gołowicza nie zrodziło się tak nagle. Miał je już od czasów dzieciństwa, które spędził w jednej ze wsi powiatu makowskiego. Teraz trafiła się mu tylko okazja zdobycia większej ilości książek i wypożyczenia je innym. Kiedy punkt biblioteczny zaczął zdobywać coraz więcej czytelników, władze powiatowe postanowiły przeorganizować go na bibliotekę gminną. A jej etatowym kierownikiem - jak się domyślacie - został Gołowicz, rezygnując oczywiście z posady referenta. - Przedtem jeszcze ukończył w Olsztynie 10-dniowy kurs dla kierowników bibliotek gminnych oraz kurs dla organizatorów i kierowników zespołów czytelnictwa i samokształcenia w Biskupcu.

Będąc kierownikiem biblioteki gminnej, organizuje nowe punkty biblioteczne oraz wiele wysiłku wkłada w propagandę placówki. Dzięki temu uzyskuje dobre wyniki w rozwoju czytelnictwa.

Jednak p. Bartkowska okiem doświadczonego bibliotekarza - pedagoga odkrywa w Gołowiczu talent bibliotekarski, a widząc trudną sytuację kadrową w obsadzie bibliotek powiatowych, nie waha się stracić dobrego kierownika biblioteki gminnej na rzecz kierownika biblioteki powiatowej w którymś z powiatów województwa. Toteż Gołowicz we wrześniu 1950 jedzie na dwumiesięczny kurs do Jarocina. Pani Bartkowska żegna go słowami: „Kolego, nie zróbcie mi zawodu”. Nie zrobił. Kurs ukończył z wynikiem bardzo dobrym. Sam Ośrodek Kształcenia Bibliotekarzy w Jarocinie, kole-dzy, bibliotekarska atmosfera, robi na nim ogromne wrażenie. Pełen entuzjazmu wraca z Jarocina. Z dwóch proponowanych przez Samodzielny Referat Bibliotek powiatów jeszcze przed wyjazdem na kurs wybiera trudniejszy - Mrągowo! /Wówczas w r. 1950 - ponad 60 % ludności autochtonicznej/. I tu, na stanowisku kierownika biblioteki powiatowej, czeka go właściwy egzamin. Praktyczny. Biblioteki gminne zastaje w wielkim zaniedbaniu. Niektóre z nich pokryte kurzem. Np. biblioteka w Gelandzie mieściła się na strychu szkoły pod dziurawym dachem. Książki porozrzucane po podłodze jak zboże. Brak pieców w bibliotekach. Przenikliwe zimno. Całe dnie spędza Gołowicz w terenie, a wiele nocy w Powiatowej Bibliotece. Haruje. W tym trudnym okresie wiele pomaga mu kierownik Wydziału Oświaty, p. Franciszek Sikora /obecny Kurator Olsztyński/. Jego ciepły, serdeczny stosunek do podwładnego kolegi oraz rady bardzo wiele dla Gołowicza znaczą. Zresztą Gołowicz sięga po doświadczenia poza powiat mrągowski. Podpatruje - jak się sam dziś wyraża - pracę „starych” bibliotekarzy. Znanej już nam p. Bartkowskiej z Biskupca, Pszennej z Działdowa, Marchwickiej

z Ostródy i Zymlerowej z Morąga. Poza tym interesuje się psychologią i pedagogiką. W 1951 r. Gołowicz kończy kurs II stopnia w Jarocinie /też z wynikiem b. dobrym/ oraz w roku następnym uczestniczy w kursie dla pracowników działów instrukcyjno-metodycznych i służby informacyjno-bibliograficznej. Ponadto w roku 1953/1954 kończy zaoczny kurs bibliotekarski. Jak więc z powyższego widać, na brak kwalifikacji u Gołowicza nie można się uskarżać. Ale bynajmniej nie poprzestaje Gołowicz na tej oficjalnie zdobytej wiedzy bibliotekarskiej. Prowadzi intensywne samokształcenie. Dużo czyta. I to zarówno pozycje fachowe, jak i inne. Trzeba wspomnieć, że Gołowicz - to jeden z nielicznych bibliotekarzy posiadających sporą własną biblioteczkę. Jego ulubieni pisarze - to Żeromski i Camus. Specjalne zaś zainteresowanie wykazuje dla działu biograficznego.

Mówiąc o całości kształcie jego pracy bibliotekarskiej /choć tak jak tu pobieżnie/, nie można pominąć sprawy badań czytelnictwa. Gołowicz z własnej inicjatywy zaczął - i nadal prowadzi - bardzo ciekawe badania czytelnictwa w bibliotekach swego powiatu. M.in. przeprowadzał badania dla Wojewódzkiej Rady Czytelnictwa i Książki w Olsztynie. Niedawno np. ukończył badania nad czytelnictwem młodzieży autochtonicznej dla Katedry Pedagogiki Uniwersytetu Warszawskiego. Przeprowadzał również badania nad czytelnictwem prasy wśród ludności powiatu oraz ankiety i wywiady w celu wysondowania opinii chłopów o książkach rolniczych.

Drugą dziedziną jego pracy, która wymaga szczególnego podkreślenia, to szkolenie bibliotekarzy. Gołowicz, uczeń Bartkowskiej, sam już wychował wielu dobrych bibliotekarzy. Był kierownikiem wojewódzkiego kursu dla bibliotekarzy gromadzkich w Mikołajkach. Wielokrotnie jest wykładowcą na seminariach wojewódzkich. Poza tym systematycznie prowadzi seminaria i doszkalanie własnych pracowników. Do Mrągowa jak do Mekki ciągną na praktyki i wymianę doświadczeń „świeżo upieczeni” oraz już zaawansowani bibliotekarze z innych powiatów. Warto też wspomnieć, że Gołowicz nawiązał współpracę z Biblioteką Powiatową w Pruszkowie /woj. warszawskie/. Trzeci dział - to działalność publicystyczna. Dużo pisze do prasy /Głos Olsztyński, Echo Mrągowa/o bibliotekach i czytelnictwie. Ostatnio zadebiutował na łamach „Bibliotekarza” artykułem o badaniach czytelnictwa.

I jeszcze jeden moment, którego nie można pominąć. Gołowicz jest najlepszym przykładem, że i w bibliotece powszechnej /nawet na szczeblu powiatu/ można pracować naukowo. M.in. zebrał już obfity materiał z dziejów Mrągowa i powiatu do zamierzonej przez siebie monografii powiatu mrągowskiego, jest również w trakcie opracowywania 15-lecia działalności bibliotek powszechnych powiatu Mrągowo. Warto też dodać, że dzięki Gołowiczowi Powiatowa i Miejska Biblioteka w Mrągowie jest dotąd jedyną biblioteką w województwie olsztyńskim, która prowadzi naprawdę cenną kronikę swej działalności.

Poza tym dużo Gołowicz pracuje społecznie. Jest radnym Miejskiej Rady Narodowej oraz wiceprzewodniczącym Komisji Oświaty i Kultury Powiatowej Rady Narodowej. Należy do **PZPR**

Za swoją ofiarną pracę był kilkakrotnie nagradzany nagrodami pieniężnymi i odznaczeniami państwowymi. W 1955 roku otrzymał Medal Dziesięciolecia, a 22 Lipca 1956 r. Srebrny Krzyż Zasługi.

Największą jednak nagrodą dla niego jest - jak powiedział jego ulubiony pisarz, Żeromski - poczucie spełnionego obowiązku. Ten właśnie bibliotekarski obowiązek już od 10 lat /nie ograniczając się nigdy do tak zwanych godzin służbowych/ spełnia w trudnej i żmudnej - i nie zawsze należycie docenianej - pracy bibliotekarza.

Z HISTORII ZIEMI MRAGOWSKIEJ

Najstarszą znaną historycznie miejscowością na terenie dzisiejszego powiatu mragowskiego było Szestno /Seesten/. Istniał tam już w końcu XIII wieku jedyny w tej okolicy gród obronny. W czasie najazdu Litwinów w r. 1348 gród ten uległ całkowitemu zniszczeniu. Bezpośrednio po tym wydarzeniu komtur w Bałdze zakłada w Szestnie dom zakonny i ubezpiecza go fosą. W 19 lat później, w r. 1367, pobudowano w Szestnie kamienny zamek, który stał się siedzibą tzw. prokuratora Zakonu Krzyżackiego.

W kierunku południowym od Szestna wiodły drogi wśród puszczy i jezior do Jańsborga /Pisza/ i Szczytna. Celem zabezpieczenia tych szlaków założono w r. 1348, na wąskim przesmyku między dwoma jeziorami /Juno i Czos/ osiedle, któremu nadano nazwę Sensburg /późniejsza nazwa spolszczona - Ządzbork/. Osiedle, założone „na długiej linii jezior”, w odległości zaledwie 5 km od Szestna, miało spełniać rolę przedniej straży przed napadami litewskimi zagrażającymi Szestnu z południa.

Podczas wyprawy Kiejstuta w głąb Prus w r. 1371 Ządzbork został prawdopodobnie spalony. Ludność tego osiedla utrzymywała się głównie z rybołówstwa i myślistwa.

W r. 1404 Wielki Mistrz Konrad von Jungingen nadał Ządzborkowi prawa miejskie /przywilej lokacyjny zaginął/.

Mieszczanie w owym czasie zajmowali się przede wszystkim rolnictwem i hodowlą oraz rzemiosłem. Pastwiska były użytkowane wspólnie. Bydło, konie i trzoda pasły się pod dozorem pasterzy miejskich. Opłaty pobierano wg stawek ustalonych od sztuki.

Sklepy rzemieślnicze znajdowały się w gmachu ratusza. Akta wspominają o sklepach z pieczywem, mięsem, rybami, wyrobami tkackimi, obuwiem i ubraniem. Na rynku kupcy zakupowali ziarno, miód, wosk, wełnę, len, futra itp.

Tak się kształtowało życie miasteczka w wieku XV.

Jak wykazały pomiary przeprowadzone za panowania księcia Albrechta /w pierwszej połowie XVI wieku/, cały obszar ziemi należącej do miasta wynosił 2083,20 ha, a powierzchnia jezior - 785,85 ha.

Miasto w tych wiekach wegetowało. W pierwszej połowie XV wieku liczyło ok. 300 mieszkańców, a w 100 lat później ok. 450.

Podatki nakładane przez Zakon, różne świadczenia i nadzwyczajne daniny ściągane na rzecz wojny z Polską były niezmiernym ciężarem dla mieszkańców miasta i hamowały jego rozwój.

Po sekularyzacji Zakonu Krzyżackiego, w czasie, gdy powstało Księstwo Pruskie /lenno Polski/, miasto miało w dalszym ciągu trudne warunki istnienia. Było co prawda do początków XVIII w. jedynym miastem w powiecie Szestno, ale starostowie - z reguły ziemianie - nie bardzo dbali o jego interesy. W procesie rozwojowym miasta olbrzymią rolę opóźniającą odegrały klęski nań spadające. Pożary trawiły budynki miejskie w latach 1568, 1659, 1698 i 1822. Miasto dotkliwie ucierpiało z powodu wojen lat 1454-1466. Okolicom Ządzborka i samemu miastu pozostały po sobie niemały procent zniszczeń także wojny lat 1807-1812 /napoleońskie/.

Epidemia, grad, susza, szarańcza w latach 1709-1711 do tego stopnia wyludniły miasteczko, że trzeba było sprowadzać nowych osadników.

A oto liczba ludności Żądzborka na przestrzeni wieków.

Rok	Ludność	Rok	Ludność
1411	300	1871	3270
1530	450	1881	3600
1782	1200	1900	4584
1818	1300	1910	6192
1835	2039	1919	5392
1835	2302	1929	8200
1861	2507	1936	8824
1865	3065	1939	9918
		1959	10226

Czterysta siedemdziesiąt lat upłynęło od założenia osiedla, a czterysta czternaście od nadania mu praw miejskich, zanim Żądzbork został miastem powiatowym. Stało się to w r. 1818, w wyniku przeprowadzenia reformy administracji Prus Wschodnich.

W okolicach Żądzborka i w powiecie Szestno od dawna zamieszkiwali liczni Polacy, w mieście jednak osiedlać się im nie było wolno. Dopiero po pokoju toruńskim /1466r./ zaczęło się zmieniać oblicze narodowościowe miasta. Zaczęli napływać coraz liczniej Polacy i, jak wskazują akta archiwalne, już w w.XVI i XVII przytłaczająca większość mieszkańców miasta była polska.

Najazd Tatarów w r. 1656 i epidemia tyfusu plamistego załamały siły żywiołu polskiego na tych ziemiach. Jednocześnie wzmożła się germanizacja. W latach 1726-1760 Fryderyk Wilhelm I zniósł język polski jako urzędowy w księgach sądowych i urzędach. Usunął równocześnie z kościoła wiele obyczajów polskich. W r. 1825 w Żądzborku zamieszkuje 1168 Niemców, Polaków natomiast 585. Na wsi w pow. żądzborskim w tymże roku było 20404 Polaków, Niemców zaś zaledwie 2300. Jeszcze w 1861 r. Polacy stanowili 75% ogółu ludności powiatu.

Polskość miasta zaczyna się wyraźnie cofać w w.XX. O ile wieś w pow. żądzborskim pozostaje w większości polska, to miasto w w.XX staje się niemal zupełnie niemieckie.

Od połowy XIX w. rozpoczęto budowę dróg bitych łączących Żądzbork z innymi miastami. W r. 1845 rozpoczęto budowę szosy do Reszla, szosę do Kętrzyna wybudowano w 1870 r., do Biskupca Reszelskiego w 1874, do Mikołajek i do Rybna w latach 1887-1889. 1 V 1898 r. została uruchomiona pierwsza linia kolejowa: wąskotorówka do Kętrzyna. 30 września tegoż roku uruchomiono szerokotorową linię kolejową z Czerwonki przez Żądzbork do Rucianego. Miasto zaczęło się ożywiać i rozbudowywać. Ludność w okresie od 1900 do 1939 r. powiększyła się o 116%.

Ludność mazurska, mimo że przez kilka wieków była pod panowaniem niemieckim, nie zatraciła jednak polskiego języka. Jest to zasługa przede wszystkim takich działaczy mazurskich jak: Mrongowiusz, Gizewiusz,

Wojciech Kętrzyński, Marcin Giersz, Michał Kajka, którzy niezmiernie walczyli o polską szkołę, o zachowanie obyczajów i kultury polskiej.

Szczególnie wzmógł się proces brutalnej germanizacji ziem mazurskich, a więc i powiatu mragowskiego, po przegranym plebiscycie w 1920 r., a zwłaszcza w okresie rządów hitlerowskich. Niemcy starali się zniszczyć i wytępić polską świadomość i mowę Mazurów.

Usiłowania te nie przyniosły pełnego powodzenia.

W styczniu 1945 r. miasto wróciło do Polski. Siłą żywiołu polskiego tych ziem wznowili osadnicy i repatrianci, którzy zaczęli napływać z Wileńszczyzny, Białostocczyzny, północnych powiatów woj. warszawskiego i innych terenów Polski Centralnej. Dla uczczenia pamięci wielkiego bojownika o polskość - Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza - miastu nadano w r. 1947 nazwę „Mragowo”.

Mragowo dzisiaj

Mragowo jest jednym z miast powiatowych woj. olsztyńskiego, które najmniej ucierpiało w czasie ostatniej wojny /zniszczone w ok. 40 %/. Niedługo po wojnie odbudowano zniszczony odcinek kolei żelaznej uzyskując połączenie z Olsztynem i przez Mikołajki z Elkiem. Uruchomiono także kolej wąskotorową do Kętrzyna. Obecnie gęsta sieć linii autobusowych przecina powiat we wszystkich kierunkach, stwarzając wygodne połączenie z wieloma miejscowościami powiatu. Mragowo uzyskało również tym środkiem lokomocji bezpośrednie połączenie z Warszawą, Ostrołęką, Łomżą.

Po zniszczeniach wojennych w stosunkowo szybkim tempie zaczęło się rozwijać rolnictwo, gospodarka leśna i rybna. W samym Mragowie odbudowano kino, gmach poczty, zakład mleczarski. Stanął jeden blok mieszkalny, w budowie są dalsze dwa, rozpoczęto budowę Domu Kultury. Szybko zniknęły gruzy, a na ich miejsce pojawiły się trawniki i zieleńce. Mragowo zdobyło sobie opinię jednego z najczystszych miast powiatowych w woj. olsztyńskim.

Ludność miasta znalazła zatrudnienie w handlu, rzemiośle oraz różnych instytucjach i urzędach. W Mragowie czynny jest szpital, ośrodek zdrowia, bank, z zakładów produkcyjnych: Mragowskie Zakłady Przemysłu Terenowego, tartak, duża spółdzielnia krawiecko-bieliźniarska /produkcja eksportowa/ i spółdzielnia tkacka, zatrudniająca dziesiątki kobiet mragowskich.

Czynne są dwie szkoły średnie: Ogólnokształcąca i Liceum Pedagogiczne oraz zasadnicza metalowa. Prócz wymienionych jest jeszcze szkoła podstawowa /ok. 800 uczniów/, dwa przedszkola, dwa domy dziecka. Młodzieżowy Dom Kultury skupia na zajęciach popołudniowych młodzież szkolną, która ma również szerokie możliwości zaspokajania swoich zainteresowań w istniejącym Państwowym Ognisku Artystycznym /dział muzyczny i plastyczny/. Funkcjonuje od lat Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna, z ok. 24 tys. książek i dość dobrze wyposażoną czytelnią.

Ludność miasta Mragowa wg stanu na 31 XII 1958 r. wynosiła 9836 osób, Mikołajek 2819, ludność wiejska zaś 25775 mieszkańców. Ogółem w powiecie mieszka 38430 osób.

Na wsi jest czynnych 78 szkół podstawowych /na 100 wsi/, 3 szkoły przysposobienia rolniczego, czynnych jest 13 bibliotek gromadzkich z 45 punktami bibliotecznymi.

Powiat mragowski wszedł w 15 rok okresu powojennego ze znacznymi osiągnięciami tak w dziedzinie gospodarczej, społecznej i politycznej, jak i kulturalnej.

Pulsujące życie powiatu ukazuje z każdym dniem coraz lepszą perspektywę rozwoju.

14 lat działalności bibliotek publicznych

powiatu mrągowskiego /1946-1960/

„W roku 1946 z okazji „Dnia Oświaty” zwrócono się do nielicznych przesiedleńców z Polski Centralnej z prośbą o darowanie książek dla rozpoczęcia Biblioteki Powiatowej.

Zebrano ok. 65 tomów i umieszczono ten mały zbiorek w szkole powszechnej.

Zbiór nie odznaczał się wartością tematów, jednak młodzież - zwłaszcza szkolna - korzystała z kilku dzieł literatury klasycznej.

W listopadzie 1946 r. Kuratorium Okręgu Szkolnego Mazurskiego przydzieliło już pierwszych 57 książek o trwałej wartości.

Rozpoczęło się czytelnictwo...”

Ze sprawozdania Biblioteki Powiatowej z dnia 12 VII 1949 r. opracowanego przez ówczesnego kierownika Biblioteki, Włodzimierza Barana.

Jeszcze nie ostygły na dobre ruiny spalonych domów, dopiero co zaczynała wkraczać i umacniać się nowa państwowość polska, a już w nawale tych gorączkowych spraw pomyślano także o strawie duchowej obywateli.

Zebrano więc te 65 tomów i umieszczono „mały zbiorek” w szkole powszechnej. Na koniec 1946 roku Biblioteka Powiatowa liczyła już 319 tomów, a na koniec 1949 r., tj. roku, z którego pochodzi urywek wyżej cytowanego sprawozdania, było w Bibliotece dokładnie 3.332 tomy. Jak na niespełna 4 lata istnienia placówki, to wcale dobrze.

Pierwszymi kierownikami Biblioteki byli: p. Wanda Brożewicz, obecna kierowniczka szkoły wieczorowej dla pracujących, i p. Włodzimierz Baran.

Jeszcze do dziś można natrafić na ślady ich działalności. W pierwszej księdze inwentarzowej ciągną się równiutkimi rządkami kształtne literki wykaligrafowane ręką p. Wandy, p. Włodzimierz Baran pozostawił po sobie o wiele większe archiwum. Nic dziwnego: każdy rok powiększał nie tylko księgozbiór, ale i przynosił ze sobą coraz więcej zadań. W 1948 r. organizuje się oddział miejski z 400 tomami wydzielonymi z księgozbioru Biblioteki Powiatowej. W siedmiu miejscowościach gminnych czynne są już punkty bibl. Rok następny - 1949 - był już o wiele „urodzajniejszy”. Organizuje się bibliotekę miejską w Mrągowie /737 t./ i miejską w Mikołajkach /683 t./. Na wsi jest już czynnych 46 punktów bibl. w gminach i gromadach. Ba, rzucono do czterech gmin /na dziewięć w powiecie/ po 500 książek jako zaczątek pierwszych w historii tej ziemi bibliotek gminnych. Nastąpiło uroczyste otwarcie bibliotek w gminach: Baranowo, Sorkwity, Ukta, Wyszembork. W końcu 1949 r. było więc 6 bibliotek i 46 punktów bibl. Liczba książek w tych bibliotekach wynosiła 7.513 woluminów. A czytelników? Jak podają statystyki było ich na koniec 1949 r. w skali powiatu 983.

„... umieszczono ten mały zbiorek w szkole powszechnej”. Prawdopodobnie jeszcze w 1946 r. niewielki księgozbiór Biblioteki Powiatowej przeniesiono do równie niewielkiego pokoiku w gmachu Prezydium Powiatowej Rady Narodowej. W gmachu Prezydium pozostała na cały szereg lat /do 1954 r./ zmieniając tylko pomieszczenia na coraz większe.

Z drugiego piętra zeszała na parter, lokując się najpierw na werandzie, później w dwóch dość obszernych izbach. W r. 1950 przeniesiono bibliotekę /było już 6.683 tomy/ do jednej, ale obszernej sali /dziś Powiatowy Komitet ZSL /. W tym samym roku bibliotekę czekała jeszcze jedna przeprowadzka, tym razem do obszernych lokali w północnej części

gmachu, z których jeden, o posadzce i ścianach wykładanych kafelkami, służył byłemu landratowi za kuchnię. Znalazł w niej pomieszczenie cały księgozbiór, obok znajdowało się małe locum, wykorzystane na magazyn gospodarczy, szczupłe grono pracowników ulokowało się w dość obszernym, jasnym i ciepłym lokalu od strony głównej ulicy miasta.

Pomieszczenie było na ogół dobre /poza niesamowicie zimnym lokalem wykładanym kafelkami/ i służyło bibliotece do końca 1954 roku.

Piętnastego stycznia 1950 r. nastąpiło uroczyste otwarcie czterech nowych bibliotek: w Nawiadach, Pieckach, Rybnie i Woźnicach. W grudniu tegoż roku uruchomiono bibliotekę gminną w Marcinkowie /z siedzibą w Mragowie/, która zamknęła pełną sieć bibliotek gminnych w powiecie.

Okres zamykający się datami 1950 - 1954 był okresem niezmiernie wyężonej pracy tak zawodowej, jak i społecznej.

Dla zilustrowania tych poczynañ i wysiłków, gonitwy po terenie, to znowu nie kończących się godzin nocnych, spędzonych w bibliotece, następnie wyników, trzeba by było poświęcić co najmniej kilkadziesiąt stron maszynopisu.

Z roku na rok księgozbiory biblioteki powiększały się i szły w dziesiątki tysięcy tomów. Zwiększył się zakres pracy kierowników bibliotek gminnych /opracowanie książek, katalogi, wypożyczanie do punktów/. Przybyło czytelników.

Do roku 1952 włącznie wszystkie biblioteki gminne /9/ pracowały na ryczałtach. W Powiatowej Bibliotece w r. 1952 były 3 etaty, w Miejskiej w Mragowie 1 i od 1 stycznia w Mikołajkach także 1 - razem w powiecie 5 etatów. Dopiero w r. 1953 otrzymaliśmy 5 etatów na biblioteki gminne. Otrzymują je biblioteki: Braniewo, Geland /gm. Sorkwity/, Piecki, Rybno i Marcinkowo. W r. 1954 dochodzi szósty i otrzymuje go Ukta. - Pozostały już tylko trzy biblioteki na ryczałtach /Nawiady, Woźnice, Wyszembork/.

Fakt przyznania tych etatów wywołał niemałą radość wśród pracowników bibliotek. Stwarzała się bowiem jakaś stabilizacja kadr i perspektywa większych osiągnięć czytelniczych w tych bibliotekach.

Nowy podział administracyjny powiatu w r. 1954 odbył się korzystnie przede wszystkim na pracy Biblioteki Powiatowej i Miejskiej w Mragowie. Obie biblioteki zostały połączone i otrzymały nowy 5-pokojowy lokal położony przy ul. Roosevelta 17. Tę przeprowadzkę przyjęliśmy z radością, poświęcając m.in. całą niedzielę dnia 23 I 1955 r. na urządzenie się w nowym lokalu.

W związku z nowym podziałem administracyjnym powiatu zaszła konieczność powiększenia sieci bibliotek gromadzkich /już nie gminnych/, które w myśl hasła: „w każdej gromadzie biblioteka” - należało zorganizować w nowych gromadzkich radach narodowych.

Pod koniec 1956 r. było już czynnych 5 nowych bibliotek gromadzkich. Księgozbiór zlikwidowanej biblioteki gminnej Marcinkowo /z siedzibą w Mragowie/ przekazano nowej bibliotece w Grąbowie. Poza tym zostały uruchomione biblioteki: w Warpunach, Uźrankach, Olszewie i pod koniec 1956 r. w Kosewie.

W dniu 31 XII 1956 r. sieć bibliotek obejmowała: 13 bibliotek gromadzkich /w tym 6 etatowych/, 1 miejską /Mikołajki/ oraz Powiatową i Miejską Bibliotekę Publiczną w Mragowie. Razem 15 bibliotek i 67 punktów bibliotecznych. Sieć ta pozostaje bez zmian do chwili obecnej /zmniejszyła się tylko liczba punktów bibliotecznych do 45/.

Od 1955 r. notujemy znaczną stabilizację kadr, zarówno w bibliotece powiatowej, jak i gromadzkich. Trafiają się już w bibliotece powiatowej pracownicy z wyższym wykształceniem, jak: Stanisław Sawicki, Stanisława Sztukowska, Zygmunt Łatyszajóć. W dniu 31 grudnia 1959 r. w bibliotece powiatowej było 6 prac., w tym określając wg stanowisk: 1 bibliotekarz ze średnim wykształceniem, 1 młodszy bibliotekarz z wyższym

wykształceniem, 1 młodszy bibliotekarz ze średnim wykształceniem, dwóch technicznych pracowników bibliotecznych i zaledwie jeden manipulacyjny /nie ukończone średnie wykształcenie/.

Bibliotekarze gromadzący niektórych bibliotek pracują już po kilka lat /Ukta, Geland, Baranowo, Piecki, Rybno, Mikołajki/.

Nastąpiło pewne przywiązanie do zawodu, co z kolei wpłynęło dodatnio na wyniki pracy, jej organizację, szkolenie itp. Dopracowano się np. kompletnych katalogów w bibliotekach terenowych, katalogów zagadnieńowych, tematycznych, osiągnięto większą znajomość księgozbiorów, obsługi czytelnika, służenia mu informacją.

Rok 1959 przyniósł nadspodziewanie dobre wyniki w liczbie czytelników, a szczególnie wypożyczeń. W samej bibliotece powiatowej i miejskiej zarejestrowano 1.207 czytelników / w roku poprzednim było 1004 /. Zwiększyła się również liczba czytelników w bibliotekach terenowych, a liczba wypożyczeń zamyka się cyfrą dotąd nie spotykaną.

Najlepiej zilustruje to zestawienie porównawcze:

Wyszczególnienie		R o k		
		1955	1958	1959
Liczba bibliotek		11	15	15
Liczba czytelników	miasta	2.513	1.557	1.853
	wieś	3.564	2.738	3.182
	Razem:	6.077	4.295	5.035
Liczba wypożyczeń	miasta	41.778	27.845	39.565
	wieś	28.675	45.090	51.799
	Razem:	70.435	72.933	91.364
Średnia wypożyczeń	miasta	16,2	17,8	21,3
	wieś	7,7	16,5	16,2
	Razem:	11,5	16,9	18,1

Znaczny jest wzrost w liczbie czytelników w zestawieniu lat 1958/59, zwłaszcza w bibliotekach miejskich /o 296/ i bibliotekach gromadzkich /o 444/.

Liczba czytelników w stosunku do ogółu ludności powiatu wynosiła w końcu 1959 r. 12,7 %. W miastach /Mrągowo i Mikołajki/ - 14 %, na wsi 12 %. Trzeba tu nadmienić, że w dalszym ciągu, jeśli chodzi o miasta, przoduje pod względem liczby czytelników MBP w Mikołajkach /25 % czytelników w stosunku do ogółu mieszkańców/. Rozwinęło się czytelnictwo w wielu bibliotekach gromadzkich, szczególnie tych „starych”, jak Ukta, Piecki, Geland, Nawiady, Baranowo. Biblioteki te mają już za sobą wyrażną tradycję czytelnictwa.

Liczba wypożyczeń przewyższyła w r. 1959 wyniki roczne z lat ubiegłych. Same biblioteki /nie licząc punktów bibl./ wypożyczyły w ciągu roku 82.181 vol., a łącznie z punktami 91.364 tj. o przeszło 18 tys. więcej niż w r. 1958. Średnia wypożyczeń w skali powiatu wynosiła 18,1 na 1 czytelnika: na wsi 16,2, w miastach 21,3.

Z tego, nawet tak pobieżnego, szkicu wynika stwierdzenie: proces upowszechnienia czytelnictwa w pow. mragowskim nabiera z każdym rokiem coraz wyraźniejszych kształtów, książka znajduje swoich odbiorców, a co za tym idzie, wzbogaca ich świadomość i postawę społeczną w obliczu zachodzących zjawisk życia codziennego.

Bibliotekarka gromadzka

"...Ukazują się tu najdziwniejsze światy - światy nieznane i nie przeczuwane: bohaterstwa i piękna w najprostszym czynie, który rozstrzyga o wszystkim".

Jarosław Iwaszkiewicz - Gawęda o książkach i czytelnikach. "Czytelnik" 1959.

Osiemnokilometrowy odcinek drogi między Mragowem a Nawiadami przebywa się PKS-em w ciągu 40 minut. Do Nawiad można się dostać tym środkiem lokomocji pięć razy dziennie. Nawiady leżą bowiem na trasie "dalekobieżnej": Mragowo-Ostrołęka-Łomża, Mragowo-Rumy. Z tamtych okolic napłynęła ludność osiedlając się w Nawiadach, w pobliskiej Golan- ce, Starych Kielbonkach, w wioseczce ukrytej w cieniu lasów o tak dziwnej nazwie - Cierpięta, to znowu w Babiętach - wsi ukrytej w Puszczy Piskiej i innych.

Wraz z tymi osiedleńcami przybyła z tamtych stron Wiktoria Grabowska - bibliotekarka. Ścisłej mówiąc, Grabowska nie przyjechała z umiejętnościami bibliotekarskimi - nabyła je później, właśnie w Nawiadach.

Ale zacznijmy najpierw od biblioteki.

Historycznym momentem dla tej placówki był dzień 15 stycznia 1950 roku, w tym bowiem dniu nastąpiło uroczyste otwarcie Gminnej Biblioteki Publicznej w Nawiadach. Do "licznie zgromadzonych" na tej uroczystości przemówił ówczesny wójt, charakteryzując w swym przemówieniu rolę biblioteki, która przecież jest powszechną, publiczną, a więc dostępną dla wszystkich.

500-tomowy księgozbiór wraz z dwoma szafami przyjechał pod swoją opiekę nauczycielka miejscowej szkoły, Anna Szyniec, i umieściła ten zbiór w jednej z sal szkolnych.

Mamy więc Bibliotekę Gminną z jej pierwszym kierownikiem. Niestety, jeszcze w tymże roku Anna Szyniec zostaje przeniesiona do innej szkoły, a jej miejsce zajmuje od 1 grudnia 1950 roku Marian Zawada, przenosząc bibliotekę ze szkoły na poddasze budynku gminnego.

Na koniec roku biblioteka liczy już 667 książek, a karty czytelnicze wykazują 32 czytelników.

Zdawałoby się, że nic nie stoi na przeszkodzie w kierowaniu książki do rąk mieszkańców. Było jednak inaczej. Zawada bowiem przyjął tak skwapliwie bibliotekę nie po to, by w niej pracować, ale by podeprzeć jej ryczałtem swoją pensję zasadniczą. Zresztą w tym celu bibliotekę mu przekazano.

Wszelkie monity ze strony Biblioteki Powiatowej i wnioski o zwolnienie Zawady były traktowane co najmniej pobłażliwie.

- Biblioteka? Toż jest na górze, nie zginie - mawiał w chwilach zniecierpliwienia wójt, ten sam, który tak uroczysto podkreślał w swoim przemówieniu wagę oświatową tej placówki.

A biblioteka marniała. Nowe przydziały książek wały się po podłodze. Wiele co cenniejszych pozycji zaginęło bez śladu.

Wreszcie z ostatnim dniem listopada 1951 roku, a więc po dwunastu miesiącach „pracy”, przeniesiony na inny teren, zwolnił miejsce bibliotekarza Marian Zawada.

Teraz zjawia się Wiktoria Grabowska, a wraz z nią pewna nadzieja na lepsze.

Umysł jej zaczął chłonać wskazówki i instrukcje, objaśnienia i porady, bibliotekarka szła im naprzeciw, podpatrywała, ciekawiła się, a pracowite ręce systematycznie, metodycznie doprowadzały zaniedbany księgozbiór do wzorowego porządku. Zaczęła też opracowywać katalogi. Jednocześnie „obskoczyła” punkty biblioteczne, a więc w Starym Kiełbaku, w Golance, w Moczarach.

- A może założyć punkt biblioteczny w Prusinowie i w Cierpiętach? - zawsze byłoby to o kilku czytelników więcej...

Cieszyła się, że takim wiernym czytelnikiem jest stary Hilary Łysecki, Machnowski, Potocki, Grams, że coraz więcej ludzi przychodzi do biblioteki. Widziała tych, którzy czytają, i tych, którzy powinni czytać.

Grabowska potrafiła serdecznie współżyć z ludźmi, co było nie bez znaczenia dla rozwoju czytelnictwa w gminie.

Bibliotekę ściągnęła z poddasza do budynku świetlicowego. Łatwiej będzie łączyć pracę biblioteczną ze świetlicową - rozumowała. - Lokalik wyszorowała, wstawiła piec, zawiesiła firanki. Zawsze było można spotkać w bibliotece aktualną wystawkę, plakaty propagandowe, wykazy nazwisk najaktywniejszych czytelników, umieszczone na honorowym miejscu, rozstrzygnięcia konkursów literackich, organizowanych z czytelnikami, gazetki ścienne. Jednocześnie była motorem życia świetlicowego w Nawiadach. Zgromadziła wokół siebie młodzież, prowadziła zajęcia świetlicowe, reżyserowała i wystawiała ze swoim zespołem sztuki teatralne.

Jej cicha, systematyczna praca zaczynała przynosić widoczne owoce.

29 maja 1952 roku jako jedna z najlepszych bibliotekarek w kraju zasiada w Prezydium Ogólnokrajowej Rady Bibliotekarzy w Warszawie.

Wróciła z tej narady z przeogromnym ładunkiem zapału do dalszej pracy. Każdy dzień przynosi jej nowe zadowolenie, płynące z widoku wyraźnego rozwoju czytelnictwa. Nie liczy godzin pracy spędzonych w bibliotece i świetlicy. Nie upomina się za godziny nadliczbowe. Sam fakt pomnażania staje się dla niej nagrodą.

W rok później, 15 czerwca 1953 roku, została zmuszona do odejścia z biblioteki. Walnie przyczynił się do tego wójt, ten sam, który tak pozytywnie zapisał się ze swoim przemówieniem w czasie uroczystego otwarcia biblioteki. Sprawa oparła się o powiat, ale decyzja wójta pozostała w mocy. Grabowska nie ma talentu do pięknych przemówień. Odeszła cicho do swoich domowych spraw.

W ciągu następnych pięciu lat bibliotekarze zmieniali się jak figurki na scenie. Przychodzili i odchodzili. Od 15 czerwca 1953 roku do 1 listopada 1957 roku było ich siedmiu.

To nie była robota. To była udręka z dreptaniem w miejscu. Przecież ci ludzie nie wchodzili do biblioteki z jakimś ładunkiem wiadomości bibliotekarskich. Trzeba było ich szkolić. Niektórzy odchodzili zawiadzeni, że to jednak tyle pracy i... że ktoś czuwa nad jej przebiegiem. Innych wabiły nieporównanie większe niż biblioteczny ryczałt pensje. Po każdym z nich pozostawał wykaz kilkudziesięciu książek, które zagięły gdzieś bez śladu. Zbudowane z takim mozołem i nakładem pracy katalogi ulatniały się także w niewiadome.

Już i tak tragiczną sytuację biblioteki pogłębiał fakt wykorzystywania jej lokalu na urządzenie bufetu w czasie organizowania zabaw w przyległej sali świetlicowej. Opór, chociaż i był podejmowany ze strony bibliotekarza, kończył się po prostu wyłamaniem zamka. Bo jakże? Gdzie umieścić wódkę, piwo itp. rzeczy?

O stosowaniu jakichś metod pogłębiających czytelnictwo nie mogło być mowy. Rola oświatowa biblioteki spadała do zera.

Aż się płakać chciało...

W listopadzie 1957 r. znowu vacat. Trzeba było zaangażować nowego bibliotekarza. Jedenastego już od czasu założenia biblioteki.

Miejscowi nauczyciele, znający zakres pracy bibliotecznej, podchodzili uczciwie do stawianych propozycji: - nie mamy czasu. Inni, owszem, gdyby to był etat dający jakie takie utrzymanie...

- Kogo przyjmujemy? - pytam z przygnębieniem nowego przewodniczącego Prezydium GRN.

Otto Przystawik, dla którego każde zagadnienie stanowi problem pierwszorzędnej wagi, dobrotliwie, jak w jego zwyczaju, podsuwa:

- Grabowską.

- Przecież byłem u niej przed kilku dniami. Powiedziała kategorycznie, że ze względu na sytuację rodzinną nie może się angażować do żadnych prac.

- Byłem u niej wczoraj. Zdecydowała się.

Tak tedy, od dnia 1 listopada 1957 r. - po przeszło pięcioletniej przerwie - Grabowska podjęła znowu ulubioną pracę. Sekundował jej i do tej chwili pomaga przewodniczący Prezydium - Otto Przystawik. Z jego to inicjatywy biblioteka otrzymała ładne, dwuizbowe pomieszczenie w budynku GRN. Jeden lokalik na wypożyczalnię, drugi na czytelnię. Przeniesiono więc bibliotekę z ciemnego i zatęchłego lokalu dawnej „światlicy gminnej” do tych nowych pomieszczeń.

Popłynął nowy prąd i wzbudził nadzieję. Troje ludzi z Biblioteki Powiatowej tydzień czasu pracowało nad uporządkowaniem księgozbioru i katalogów. Wyodrębniono dział młodzieżowy dzieląc go na poziomy. Opracowano katalogi zagadnieniowe.

I znowu, jak przed laty, każdy następny dzień jest pomnażany o coraz to nowe zdobycze.

Zajęcia z dziećmi przy rzutniku. Lekcje biblioteczne. Przygarnięcie uczniów opuszczających szkołę. Młodzież. A gospodynie zgrupowane w Kole Gospodyń? Czytajcie, uczcie się. Znowu zajęcia z zespołem teatralnym. Występy w Rybnie, w Ukcie. Dochód z imprez na wymalowanie podłogi w bibliotece, na chodniki, na firanki, na urządzenie świetlicy.

Ożyły na pół martwe punkty biblioteczne. Zajął się wypożyczaniem książek w Gólanie nauczyciel Stanisław Damian. Jego kolega Roman Kaszałowicz zabrał się z całą energią do prowadzenia punktu bibliotecznego w Moczarach. Emerytowany nauczyciel, Teofil Dziuk, zaczął bywać coraz to częstszym gościem w bibliotece po komplety książek do swego punktu w Cierpiętach. Tylko w Starych Kielbąkach, siedzibie sąsiedniej GRN, kierownik szkoły się uparł: zabierzcie szafę, zabierzcie książki. Ja nie mam czasu na punkt biblioteczny.

Punkt przejęła jedna z gospodyń wiejskich. Nic z tego nie wyszło. Stary Kielbąk wypadł z sieci bibliotecznej Nawiad. Za to zgłosił się do biblioteki z propozycją uruchomienia punktu bibliotecznego w Babiętach kierownik tamtejszej szkoły, kol. Eugeniusz Grabowski.

- Prowadzę kurs wieczorowy, młodzież będzie czytać.

Punkt biblioteczny w Babiętach liczy kilkunastu czytelników.

Kolego Eugeniuszu! Gdy będziesz czytał te słowa, wiedz, że za nimi kryje się serdeczna wdzięczność bibliotekarza - podzięką za Twoją prawdziwie nauczycielską postawę społeczną.

W przeddzień 1 Maja 1959 r. kol. Grabowską spotkało zaszczytne wyróżnienie. Za organizację i czynny udział w działalności Koła Gospodyń Wiejskich, za aktywny wkład pracy w Komisji Oświaty i Kultury i za działalność świetlicową została odznaczona na powiatowej akademii 1-majowej Srebrnym Krzyżem Zasługi.

W podsumowaniu roku 1959 biblioteka w Nawiadach znalazła się na czołowym miejscu w skali powiatu. Sprawiała to cicha, systematyczna i pełna trudu mrówcza praca koleżanki Wiktorii Grabowskiej.

Potrudźmy się trochę, przeanalizujmy poniższe cyfry, pokazujące bibliotekę na przestrzeni czterech lat.

Wyszczególnienie	R o k			
	1956	1957	1958	1959
Księgozbiór l. tomów	2109	2415	2724	2946
w bibliotece	109	96	153	212
Czytelnicy w p-tach bibl.	160	72	26	85
Razem	269	168	179	297
Wypożyczenia w p-tach bibl.	1059	737	3123	4966
Razem	850	510	467	1493
Razem	1909	1247	3590	6459
Średnia wypożyczeń na 1 czytelnika w bibliotece	7,0	7,6	20,5	23,4

Czytelnicy w stosunku do ogółu ludności gromady stanowili wg stanu na dzień 31 XII 1959 - 18,3%.

Plany? Książka musi się znaleźć w każdym domu i w rękach każdego. A wiadomo, że w ślad za tym idzie oświata i kultura.

Dedykuję ten artykuł wszystkim tym kierownikom bibliotek gromadzkich, którzy w tej relacji będą mogli odnaleźć siebie.

Najserdeczniej.

/Poradnik Bibliotekarza nr 11/12

z 1960 r./

Kierunek - czytelnie

Rok 1950. Biblioteka Miejska mieściła się wówczas w małym pokoiku na pierwszym piętrze, w Ratuszu. Było tam zimno i ciasno. W dodatku jedno okno, do połowy zasłonięte regałami, niewiele przepuszczało światła.

Lubiłem jednak niekiedy tam zajść, by podpatrzeć pracę wypożyczalni i posłuchać dyskusji czytelników o przeczytanych książkach. Takie dyskusje były niekiedy nadzwyczaj ciekawe.

Przećiskałem się przez grono oczekujących na swoją kolejkę czytelników i zajmowałem wskazane mi gościnnie przez bibliotekarkę miejsce przy jej stoliku - pod oknem. Był to jedyny kącik w bibliotece, w którym mogłem względnie spokojnie posiedzieć.

Bibliotekarka, p. Maria Nowak, krzątała się w wąskich przejściach między regałami i ladą biblioteczną. Wyszukiwała z półek żądane przez czytelników książki, starając się zaspokoić jak najlepiej ich dezyderaty. Trzeba przyznać, że robiła to z całym zapałem pedagogiki bibliotecznej i znajomością zainteresowań czytelników. Potrafiła także te zainteresowania odpowiednio kształtować.

Pewnego razu, siedząc tak w głębi lokalu bibliotecznego usłyszałem głośno: "dobry dzień" - wypowiedziane wszem wobec: ludziom, regałom i książkom. Zobaczyłem starszego pana ze śmiejącymi się oczyma i z czarną jak heban brodą. Przecisnął się do lady bibliotecznej i złożył na niej kilka książek do zwrotu. Znać było, że jest częstym bywalcem biblioteki.

Bibliotekarka odpowiedziała: "a dzień dobry, dzień dobry", głosem, z którego przebijała wyraźna nuta życzliwości.

- Czy jest już nowy "Ogoniok"? - spytał.

P. Maria przerwała na moment czynności notowania wypożyczeń i spod lady wydobyla numer czasopisma. W tym momencie uchwyciłem kątem oka niezdecydowanie w ruchach i postawie bibliotekarki. Niezdecydowanie to trwało krótko. Podeszła do mnie i zaczęła szeptać: "...ten pan przychodzi na czasopisma, przegląda stare roczniki i korzysta z tego miejsca, na którym pan siedzi... Bardzo pana przepraszam, ale jak pan kierownik widzi, nie mam gdzie mego czytelnika posadzić..."

Podniosłem się z krzesła i powiedziałem:

- Ależ, proszę bardzo, proszę uprzejmie.

Dzisiaj już nie mamy podobnych kłopotów.

W roku 1954 obie biblioteki - powiatowa i miejska - zostały połączone w jeden organizm i otrzymały pięciopizbowe pomieszczenie. Jedną z izb, o powierzchni 30 m², przylegającą do wypożyczalni wykorzystaliśmy na urządzenie czytelnii. Zrazu było to prowizorium: kilka stolików, zbieranina krzeseł, kilkanaście tytułów czasopism i to wszystko.

Mogliśmy już jednak, dzięki temu lokalowi, znacznie poszerzyć działalność biblioteczną. Zaczęliśmy organizować wystawy książkowe, konkursy literackie, pogadanki. W dniach Oświaty setki uczniów miejscowych i okolicznych szkół zapoznawało się z działalnością i urządzeniem biblioteki. W czytelnii odbywają się lekcje biblioteczne. Środy weszły już do tradycji jako dni przeznaczone na zajęcia z dziećmi. Opowiadanie bajek, wyświetlanie przezroczy, epidiaskop, organizacja konkursów literackich oto zajęcia z młodocianym czytelnikiem.

Z roku na rok rosła liczba czasopism. Rosła, można powiedzieć, pod presją czytelników. - Jak to? - mówili - żeby w czytelnii nie było tego tytułu? Przybywało więc tytułów, tak że obecnie jest w czytelnii do dyspozycji czytelników ok. 100 tytułów dzienników i tygodników, licznie reprezentowane są magazyny ilustrowane, czasopisma dla dzieci itp.

Codziennie dziesiątki czytelników ślęczą nad tymi gazetami.

Z chwilą uzyskania lokalu na czytelnię wyodrębniliśmy z całości księgozbioru i zaczęliśmy kompletować bibliotekę podręczną. Biblioteka ta rozrosła się do około 400 pozycji. Znalazły się tu encyklopedie, bibliografie, słowniki, wszelkie informatory, kalendarze, albumy. Szczególnie bogato jest reprezentowany dział nauki o literaturze.

Ostatnio, idąc po linii zapotrzebowań czytelnicznych, zebraliśmy z różnych wydawnictw materiały dotyczące Mragowa i powiatu, wyodrębniając je w specjalnej kartotece. Jest to zbiór danych źródłowych w przekroju geograficznym, historycznym, politycznym, gospodarczym i społecznym o powiecie mragowskim.

Rozbudowany system katalogów zagadnieniowych wprowadzają czytelnika w bogactwo tematyki, zawarte w książkach, a bibliotekarzowi ułatwia obsłużenie czytelnika, dla którego przecież pracuje i któremu służy,

Dziś czytelnia PIMBP spełnia poważną funkcję oświatową i wychowawczą w Mragowie.

A jak jest z czytelnikami w terenie?

W nawale prac i koncentracji wysiłków nad różnymi akcjami, jakie miały miejsce w minionych latach, zapomnieliśmy o tym, jaką rolę mogą odegrać czytelnie przy bibliotekach na wsi. Dobrze, że teraz zagadnienie to przybiera na sile i staje się coraz bardziej aktualne.

Coraz częściej mówi się o potrzebie czytelni na wsi, ba, nawet się je tworzy.

Inicjatorem tych chlubnych poczynań, obok wydziału Kultury PWRN, stał się Wojewódzki Zarząd Związku Młodzieży Wiejskiej. W listopadzie ub. r. otrzymaliśmy ze ZMW w Olsztynie fundusze na wyposażenie czytelni w Nawiadach. Jest to w tej chwili jedyna czytelnia na wsi w powiecie mragowskim. W pozostałych dwunastu bibliotekach gromadzkich jest pod tym względem źle. Brak jest odpowiednich lokali, brak niezbędnego sprzętu i brak funduszy na prenumeratę czasopism.

Biblioteki gromadzkie w Wyszemborku, Ukcie, Olszewie, Pieckach, Gelandzie mieszczą się w tak małych pokojkach, że już w tej chwili nie ma miejsca na wstawienie chociażby jednego regału. Ogromna ciasnota nie pozwala rozwinąć szerszej pracy bibliotecznej. Brak miejsca nie tylko dla czytelników, ale i samej bibliotekarce trudno jest pracować wśród książek ściśniętych na regałach i stosów złożonych na podłodze.

Tymczasem zapotrzebowania czytelnicze w terenie rosną. Czytelnik wiejski nie tylko wyczekuje z niecierpliwością na nowości książkowe, częstokroć się o nie wykłóca z bibliotekarką, ale chciałby również swój czas wykorzystać w bibliotece na codziennym czytaniu gazet i korzystaniu z określonych wydawnictw książkowych.

Czytelnika „ciągnie” do biblioteki.

W ubiegłym roku kilkudziesięciu czytelników z Ukty podpisało memoriał skierowany do władz powiatowych z żądaniem stworzenia lepszych warunków lokalowych i uruchomienie czytelni.

Biblioteka w Ukcie ma już wyrobioną tradycję pracy z czytelnikiem. Obecna ciasnota w bibliotece nie pozwala na podtrzymanie tej tradycji.

Należałoby w tej chwili zakupić dla każdej biblioteki chociaż po jednym regale na czasopisma, po jednym stoliku i po kilka krzeseł. Potrzeba jest ok. 700 - 800 zł rocznie na prenumeratę czasopism. Niestety, szczupłe fundusze Biblioteki Powiatowej i bibliotek gromadzkich nie wytrzymują tych wydatków. Należałoby sięgnąć do innych źródeł.

W r. ub. jedynie tylko Prezydium GRN w Nawiadach wyasygnowało ze swoich funduszy 1000.-zł na potrzeby swojej biblioteki. Żadna z pozostałych rad narodowych podobnego gestu nie okazała.

Czy 1960 r. przyniesie jakieś zmiany na lepsze? - Mamy nadzieję, że tak. Prezydium GRN w Ukcie już w niedługim czasie rozwiąże sprawę lokalu dla swojej biblioteki. Przewodniczący Prezydium GRN w Baranowie, który cieszy się opinią dobrego gospodarza gromady, obiecuje ulokować bibliotekę w lepszym lokalu i wyasygnować na jej potrzeby pewną kwotę pieniężną. Przewodniczący Prezydium z Grabowa wraz z sekretarzem mają ambicję uruchomienia czytelni przy bibliotece. Myśli się również o nowym lokalu dla biblioteki w Wyszemborku.

Mamy nadzieję, że prezydium GRN spojrzą czulszym okiem na potrzeby swoich placówek bibliotecznych, które w obecnej chwili są przecież niemal jedynymi ogniskami spełniającymi funkcję oświatową wśród dorosłych na wsi.

- o - o - o -

T E R E N ...

ZE WSPOMNIENIŃ BIBLIOTEKARZA POWIATOWEGO

/opisywane wydarzenia działy się w grudniu 1955 roku/

Jeszcze nie zdążyłem powiesić palta na wieszaku i rozejrzeć się po Bibliotece, a już w ciszę poranną wdarł się natarczywy głos dzwonka telefonicznego.

- Niech dzwoni - pomyślałem ze złością. Przecież do godziny ósmej jest jeszcze - spojrzałem na zegarek - trzydzieści minut. Czyż nie wolno mi mieć te trochę czasu dla siebie, wyłącznie dla siebie ?

Telefon trajkotał jakiś czas, potem nastąpiła cisza. - Dobrze, że nie zdążyłem podjąć słuchawki - ucieszyłem się. Nie lubiłem tej czarnej skrzynki na moim biurku. Czasami niespodziany ostry głos dzwonka wytrącał mi pióro z ręki. Wyglądało to niekiedy śmiesznie. Powstawała na papierze niezmierna krecha, jakiś kulfon absolutnie nie pasujący do całości. Potem zazwyczaj następowało kilkugodzinne zebranie, jakaś praca nie mająca nic wspólnego z zajęciami bibliotecznymi lub wyjazd w teren. Właśnie wczoraj w nocy, po kilku dniach „terenu”, wróciłem do domu. Tylko godzinę czasu wygosponarowałem z tej podróży dla Biblioteki w Pieckach...

Dobrze, że ten ktoś przestał dzwonić. Było w bibliotece znowu cicho i spokojnie. Między regałami i po kątach tulił się półmrok grudniowego poranka. Tysiące książek drzemających na regałach nie zdążyło jeszcze strząsnąć z siebie okruszków nocy. W wypożyczalni stosy książek zwróconych wczoraj przez czytelników piętrzyło się na regale podręcznym. Spośród kartotek spoczywających na stole wyzierał plik kart czytelnicznych jako widomy znak życia biblioteki. Obok jeszcze większy plik kart świadczących o liczbie książek wypożyczonych. Wygląd czytelnicy także znamionował obecność żywych ludzi. Gazety i tygodniki leżały na stołach, tak jak je pozostawili wczoraj użytkownicy.

- A to co ? - Na ścianie spostrzegłem nowy plakat. Od razu odgadłem w nim rękę Urszuli - instruktorki. Tak, to ona go wypracowała. Prostokąt brystolu odbijał się nieskazitelną bielą od tła ściany i wychodził swą świeżością na spotkanie oczu. W górnej części prostokątnego formatu widniał wielkimi literami napis: „FRYDERYK SCHILLER”, w środku fotografia poety wycięta z jakiegoś czasopisma. Pod fotografią wypisała druczkiem bibliotecznym datę urodzenia i śmierci: „1759 - 1805” niżej zaś kilka tytułów utworów. Figurowały jedno pod drugim: „Don Karlos”, „Zbójcy”, „Do radości”.

- Ejże, Urszula ? - Czyś czasem nie zagubiła jednego wyrazu? Chyba „Hymn do radości”, a nie „Do radości”... Z przykrością pomyślałem, że będę musiał zwrócić jej na to uwagę.

Wtem - z odległości - dotarł do mnie znowu odgłos aparatu telefonicznego. Nie namyślając się pobiegłem pędem w stronę swego „gabinetu”. Widocznie ten ktoś musi mieć naprawdę ważną sprawę. W słuchawce rozpoznałem głos Antoniego Skowrońskiego, kierownika Oddziału Kultury. Nie było prawie dnia, żeby do mnie nie dzwonił. Po zwykłym „dzień dobry”, „cześć” zaczął wyłuszczać meritum sprawy.

- Pojedziesz zaraz do Ukty - mówił.- Jest tam ode mnie kolega Gimel. Zawiadomił mnie wczoraj telefonicznie, że Prezydium przydzieliło nowe, kilkupokojowe pomieszczenie dla świetlicy i biblioteki. Dziś trzeba bibliotekę przenieść, a nie ma kto tego zrobić, bo bibliotekarka jest chora. Gimel mówił, że sam nie da rady.

- Jedź, bo ci Bibliotekę przewrócą do góry nogami! - poradził. Po chwili dorzucił: „Sawickiego nie posyłaj, bo niewiele, jako nowo przyjęty, będzie mógł zrobić. Jedź sam”. W tym „Jedź sam” zadźwięczała nuta prośby.

Wiedziałem, o co chodzi kierownikowi Oddziału Kultury. Łudził się nadzieją, że taki ożenek biblioteki ze świetlicą wyjdzie tej ostatniej na dobre. Kojarzył z tym nadzieję ożywienia placówki świetlicowej. - Charakter pracy świetlicy i biblioteki jest przecież podobny - mawiał.

- Nagromadziło mi się tu tyle pracy, ale przecież, że trzeba jechać - odpowiedziałem niemal zadowolony. Byłem także rad z nowego lokalu dla Biblioteki, dlatego też niespodzianka ponownego wyjazdu w teren należała raczej do przyjemnych. Odłożyłem więc czym prędzej słuchawkę na widełki i pośpieszyłem do wieszaka. Sawicki, który się zjawił pod koniec mojej rozmowy ze Skowrońskim, popatrzył na mnie pytająco.

- Jadę do Ukty na dwa dni - wyjaśniłem. Przeprowadzka Biblioteki do nowego lokalu.

Za chwilę, z teczką wypchaną sznurkami do wiązania paczek, maszerowałem w stronę dworca PKS. Musiałem się śpieszyć, gdyż samochód w stronę Ukty odchodził za kilkanaście minut.

- o - o - o -

Na dworze było zimno. W nocy spadł pierwszy tej zimy śnieg i cienką warstewką pobielił ziemię. Wzmagający się mróz przypominał, że jest to przecież dziewiąty grudnia - czas na zimę.

Pasażerów było niewielu. Parę kobiet z koszykami w ręku, trzech robotników dojeżdżających do POM-u w Pieckach, kilku pracowników Prezydium PRN, udających się podobnie jak ja w podróż służbową, i jeszcze pięć, sześć osób tkwiących na siedzeniach w tyle wozu. Po mojej prawej stronie, pod oknem, zajęli miejsca dwaj rozbawieni jakąś rozmową młodzieńcy. Jeden z nich ubrany był w długi szynel wojskowy. Szofer zgrabnym ruchem wsunął się na swój fotel za kierownicą i zaraz samochód dostał drgawek aż wszystkie szyby w nim zagrały. Jeden z tych młodzieńców siedzących po przeciwległej stronie skonstatował.

- Jadziemy.

- No to „jadziemy” - roześmiałem się sam w sobie.

Wtulikłem głowę w kołnierz i od niechcienia obserwowałem umykające do tyłu domy i opłotki miasta.

Wczoraj tą samą drogą wracałem z Biblioteki Gromadzkiej w Pieckach. Wiozłem z niej niemal już skryzalizowane postanowienie - decyzję wysunięcia ponownego wniosku do właściwych władz administracyjnych o zwolnienie kierowniczkę. Nie, taki stan nie może nadal istnieć. To nie jest biblioteka, to jest tylko zbiorowisko książek, bez katalogów, bez życia. Bibliotekarka nie jest po prostu w stanie objąć swoim umysłem całości zagadnień związanych z prowadzeniem tej placówki. W dodatku cechuje ją brak jakiegokolwiek poczucia obowiązku. A wszystko przecież zależy od człowieka...

W toczącym się samochodzie było cicho. Każdy z pasażerów zapuścił się zapewne myślą w wiadome sobie regiony. Tylko ci dwaj młodzieńcy prowadzili między sobą cichą rozmowę kraszając ją od czasu do czasu przytłumionym śmiechem. Przede mną, zwrócona plecami do kierunku jazdy, stała

konduktorka. Ciężki, służbowy płaszcz spływał jej za kolana, zaś stopy spoczywały w masywnych narciarkach. Obrączki wełnianych skarpetek kontrastowały swą bielą z nogawkami sukiennych spodni obciśniętych cholewkami butów. Ręce trzymała głęboko w kieszeniach płaszcza. Uważnym wzrokiem śledziła czynności biletowania wykonywane przez jej koleżankę, jak się później okazało, nowicjuskę w tym zawodzie. Czasami przymrużała oczy i surowo marszczyła brwi. Zdawało się, że jej wzrok kłuje szpileczkami tantą drobną figurkę uwijającą się niezdarnie wśród pasażerów w tyle wozu. Zauważyłem, że dziewczyna czuła się nieswojo pod tym wzrokiem. Przeplatała nożynami po podłodze samochodu jak po chwiejącym się rusztowaniu. Zgrabiłymi od zimna palcami otwierała, to zamykała drewnianą skrzyneczkę pełną biletów, pieniądze wymykały się z jej rąk, myliła się. Widać było jednak na jej szczupłej twarzyczce zaciętość i silne postanowienie opanowania sytuacji. Zaciśnięte usta podkreślały jej upór i wolę zdania egzaminu jak najlepiej.

... Wczoraj bibliotekarka w Pieckach powitała mnie słowami - :

- Miałam przeczucie, że dzisiaj pan przyjedzie...

- Nie zawsze was te przeczucia nawiedzają - odpowiedziałem.

- ???

- Tyle razy przecież zastałem was w godzinach pracy poza biblioteką...

Spuściła oczy, ale zaraz, za chwilę poczuła się pewniej, jakby te słowa nie do niej były wypowiedziane. Miała bowiem niebywałą zdolność natychmiastowego niemal zapominania nawet najbardziej drażliwych uwag. Poprosiłem o księgę wizytacji i punkt po punkcie zacząłem sprawdzać przebieg wykonania wpisanych tam ostatnio zaleceń. Chodziło o zgoła drobne czynności. Wpisanie do księgi inwentarzowej kilkunastu książek z ostatniego przydziału, skatalogowanie ich i naklejanie sygnatur, następnie kontynuowanie katalogu alfabetycznego i rzeczowego. Jak się okazało, bibliotekarka nic z tego nie zrobiła.

- Dlaczego? - spytałem.

Jakiś uśmiešek, ale raczej przyjazny zabłąkał się na jej twarzy.

Sięgnąłem z kolei po księgę inwentarzową. Niechlujne pismo i kleksy uderzyły niemiłosiernie w oczy. Uczułem, że palce mojej prawej ręki zwierają się na okładkach tej księgi. Spytałem:

- Koleżanko, czy macie w swojej bibliotece książkę, którą by napisał „Serdaczek?”.

Zawahała się chwilę, więc poprosiłem, by odnalazła tę książkę na półce. Po dłuższej chwili położyła ją na stole. Otworzyłem tę książkę na stronie tytułowej i wodząc palcem wzdłuż nazwiska autora rozkazywałem oczyma, by je głośno odczytała.

- Se-dla-czek!

- To dlaczego piszecie w inwentarzu „Serdaczek?”.

Na dalszych stronach aż roiło się od błędów. Wskazując palcem na te błędy, pytałem z całą surowością:

- Nałgowska czy Nałkowska?

- Nałkowska.

- Macheje: czy Machejek?

Znowu kazałem sięgnąć po książkę.

- Machejek!

Patrzyłem z politowaniem na jej twarz przed dłuższą chwilę konkretyzując w sobie pewnik, że moje wysiłki nie odniosą tu najmniejszych rezultatów. Już tyle miesięcy uczę, zalecam i wreszcie grożę... Ale komu powierzyć tę bibliotekę? Każdy woli bardziej intratną posadę...

Siląc się na spokój, spytałem jak najbardziej łagodnie:

- Dlaczego nie robicie tego uważnie? Tyle razy wam tłumaczyłem...

Przecież to jest zwykłe przepisywanie!

- Ja się poprawię, panie kierowniku.

Znowu pokiwałem głową.

- Wkraczacie dopiero w życie, koleżanko. Weźcie się „w garść”. Popracujcie nad sobą. Pamiętam czasy, w których praca nie podścielała się pod ręce tak jak teraz. Macie szerokie możliwości przed sobą.

Słuchała, zdawało się, uważnie, z aprobatą. Blask żarówki zawieszonej pod sufitem kładł się na regałach i sprzętach biblioteki. Na stole, na krzesełku i na podłodze piętrzyły się stosy książek. W niedużej skrzyneczce widniały karty czytelników korzystających z biblioteki. Spytałem.

- Czy jest dużo osób spośród młodzieży, no, powiedzmy w waszym wieku, którzy nie figurują w tej kartotece ?

- Jest kilkanaście osób - odpowiedziała z pewnym namysłem i zaraz pośpieszyła z usprawiedliwieniem:

- Oni nie chcą słuchać o książce. Jeśli przyjdą do biblioteki albo do świetlicy, to chyba tylko po to, żeby „nagrandzić”. Przeważnie chodzą wieczorami po ulicy. Teraz i do świetlicy mniej zaglądają, bo kierownik nie pozwolił im „dokazywać”, a propozycje zorganizowania zespołu nie trafiły im do przekonania.

- Nie mają więc żadnych zainteresowań ?

- Oni by chcieli książek ciekawych, sensacyjnych i „kryminałów”.

- Przecież macie w swej bibliotece wiele ciekawych książek - odparłem. Omawialiśmy je często na szkoleniach w Bibliotece Powiatowej. Czy próbowaliście ich zainteresować tymi książkami ?

- Próbowałem...

- Bez rezultatu ?

Dziewczyna milczała. Miała już precyzować jakąś odpowiedź, ale w tej chwili dopłynął z sieni głos czyichś kroków zmieszany z fragmentami prowadzonej z ożywieniem rozmowy. Do Biblioteki weszły dwie kobiety. Jedna z nich przytrzymała ramieniem trzy dość mocno podniszczone książki...

- o - o - o -

Samochód zaczął raptownie hamować. Siłą bezwładu pochyliłem się do przodu i w tej sekundzie usłyszałem za sobą jakiś trzask. Odwróciłem się szybko w tamtą stronę i zobaczyłem najpierw leżącą na podłodze samochodu drewnianą skrzyneczkę z rozrzuconymi biletami, a później właśnie cicielkę tej skrzyneczki gramolącą się z pomiędzy czyichś kolan. Dwaj młodzieńcy jakby zastygli ze wzrokiem utkwionym w tamtym kierunku.

Dziewczynina wyciągnęła z pośpiechu ręce po swoją zgubę i nerwo wymi ruchami zaczęła zbierać bloczki rozsypane po podłodze. Samochód stanął. Usłyszałem syczenie sprężonego powietrza, drzwi się otwarły i ktoś wysiadł na swoim przystanku. Konduktorka, ta w szynelu służbowym, stała nadal nieporuszenie na swoim miejscu z rękami głęboko zasuniętymi w kieszenie płaszcza. W ciszę, jaka osiadła we wnętrzu samochodu, jak ten syk sprężonego powietrza, wtargnęły drwiące słowa:

- Stoi jak ta królowna z rękami w kieszeniach...

Skierowała powoli wzrok na tego w wojskowym uniformie i nie śpiesząc się wycedziła:

- A co, pan chce, bym je panu na głowę założyła ?

Tamci zaśmiali się urwanym chichotem, ale zaraz ucichli. Znowu powietrze zasyczało, drzwi się automatycznie zamknęły, samochód jednakowoż nie ruszał z miejsca. Tamta, nieco uspokojona po tej przygodzie, skuliła się w oczekiwaniu na odjazd. Konduktorka-nauczyciel raczyła podpowiedzieć ze swego stanowiska:

- Sygnał !

Nowicjuszka z pośpiechem wyszukała guzik ukryty na drażku pod sufitem i na przesłany szoferowi znak ruszyliśmy w dalszą drogę.

Niebawem samochód wpadł między pierwsze zabudowania Piecek. Ukazał się najpierw okazały gmach szkoły podstawowej i tuż za nim budynek gromadzkiej rady narodowej. W centrum wsi usadowiły się sklepy GS-u, kino i gospoda. Świetlica gminna z biblioteką przytuliły się w budynku przedszkole, ukrytym na uboczu, w ciszy.

Na przystanku w Nawiadach wysiadł ostatni pasażer. Zostałem sam. Młoda kandydatka na konduktorkę oddała się z całą pracowitością czynności segregowania pomiętych banknotów. Skoncentrowała na tej pracy całą swoją uwagę. Jej nauczycielka zaś zajęła pozycję w sąsiedztwie szofera zamieniając z nim od czasu do czasu po kilka zdań.

Mijaliśmy Stary Kielbąk. Samochód wysunął się z tej wsi w stronę Zgonu nawijając na koła coraz to nowe odcinki drogi. Zimowe słońce ukazało się na dobre zza lasów oświetlając pofałdowany teren. Tu i ówdzie błysnęła w oddali fala wody. W Zgonie, gdzie samochód przebiega w pewnym miejscu tuż nad jeziorem, przypomniało mi się, że to jezioro to Muker. Wywołało ono letnie wspomnienie Karola Małłka, autora „Wesela Mazurskiego”, który osiadłszy w pobliskiej Krutyni rozpamiętywał historię ziemi mazurskiej. Owocem tej pracy było m.in. opowiadanie „Oracki wieńiec” zamieszczone w czerwonym numerze „Głosu Olsztyńskiego”. Zwierzał mi się w lecie, w czasie spotkania na ulicy w Mrągowie, że to opowiadanie jest częścią zbioru, który ukaże się niedługo w postaci książkowej. Ta przyszła książka, której oczekiwałem z niecierpliwością, będzie miała tytuł „Jest dąb nad Mukrem”. A więc historia wzięta z tego zakątka mazurskiego. Życiorysy Mazurów - komunistów: Frycza Łazarza ze Zgonu, Kurta Komnika z Mrągowa, Gustawa Bendisza, Dopadki z Mojtyń i innych. Kurta Komnika i jego żonę znałem osobiście z różnych zebrań i akademii organizowanych w Mrągowie.

O tym zakątku mówi także Melchior Wańkiewicz w swej głośniejszej książce „Na tropach Smętka”. Czytałem ten utwór bardzo dawno, ale niektóre partie książki, zwłaszcza te, w których występują poznane teraz miejscowości, ożyły znowu w pamięci. A więc wieś Zgon, do której pisarz przypłynął kajakiem w roku 1935 - trafiając na śniadanie do jednego z mieszkańców tej wioski, ex-podoficera armii niemieckiej, który w czasie pierwszej wojny światowej okupował Warszawę... Ot, tu, we wsi o nazwie Krutyński Piecek, niejaki Wilhelm Kopka, w rozmowie z polskim turystą, stwierdził już wówczas, w roku 1935, że „Heil Hitler” przyszło i przędzie, a „Dzień dobry” było i zostanie”.

Sprawdziły się słowa starego Wilhelma Kopki. W roku 1945 „Heil Hitler” umknęło stąd w kierunku na zachód, z południa zaś i ze wschodu nadciągnęli tu z pozdrowieniem „dzień dobry” nowi osadnicy. Życie „napływowych” z „autochtonami” splotło się w jeden organizm gospodarczy, społeczny i kulturalny. Toż to już dziesięć lat upłynęło na tym wspólnym gospodarowaniu !

- A otóż i Krutynia-wieś. Ostatni przystanek przed Uką. Kilka kobiet opatulonych w czarne palta i także bermyce na głowach taszczyło się do samochodu. Dyrygował nimi jakiś znajomy głos.

- Prędejj białki, prędejj, bo zimno !!! - wykrzykiwał dobrodusznie. Za głosem windował się do wnętrza wozu kapelusz, a pod nim osmagana mrozem twarz... Karola Małłka. Usadowił swoje towarzyszek na siedzeniach, a sam stanął w przodzie wozu. Napotkaliśmy się wzrokiem w chwilach, gdy samochód ruszył w dalszą drogę, w stronę Ukty. Podniosłem się z pośpiechem przesyłając Małłkowi ukłon pełen szacunku.

- o - o - o -

Na przystanku w Ukcie witał mnie z wyraźną radością Ryszard Gimel, ten od Skowrońskiego. Rysio był oszczędny w słowach i powolny, ale teraz nawiedziło go jakieś szczególne ożywienie.

- Dobrze, że pan przyjechał - cieszył się. - Samemu nie jest zbyt wesoło w tej daleczyźnie.

Ja też byłem rad z jego obecności. Polubiłem tego chłopaka, przede wszystkim za jego poważne traktowanie swoich obowiązków i pracowitość. Ilekroć go zastałem w Oddziale Kultury, to zawsze pogrążonego pilnie nad jakimś zajęciem. Ćwiczył na akordeonie, studiował repertuar teatralny lub załatwiał zleconą korespondencję.

Gimel był absolwentem Liceum Sztuk Plastycznych w Zamościu. Przybył do Mragowa i akurat trafił do Oddziału Kultury na stanowisko instruktora. Przyjęto go z otwartymi rękoma. Pracownika z takimi zdolnościami i kwalifikacjami niełatwo było znaleźć. Tutaj - jako instruktor amatorskich zespołów teatralnych i w ogóle pracy świetlicowej - wprzągał się w kierat tych zadań bez reszty. W najgorszą pluchę, po błocie do kolan, w najgorszy mróz szedł do najodleglejszych wiosek z pomocą w kojarzeniu zespołów artystycznych bądź też podtrzymywania działalności już istniejących.

- Jak się masz generale Gudin? - witałem go nieraz. Z sylwetki Gimla przebijała bowiem stanowczość i męskość, wola realizacji nakreślonych planów. On by też chyba bez wahania poszedł na Grimsel ale ów francuski generał z opowiadania Żeromskiego... W Ukcie przebywał od kilku dni starając się za wszelką cenę zorganizować jakieś życie kulturalne. Z nowym lokalem świetlicowym i bibliotecznym wiązał, podobnie jak kierownik Oddziału, pewne nadzieje.

- Najpierw chciałbym zobaczyć ten nowy lokal - powiedziałem. Ruszyliśmy więc z przystanku w stronę gmachu, którego parter zajmowały sklepy GS-u, a na górze miały być przygotowane „apartamenta” świetlicowe i pokój na Bibliotekę. Przez długi i ciemny korytarz, po krętych schodach dostaliśmy się na tę „górze”. Znowu długi korytarz i szereg drzwi po obu stronach.

- To tutaj - objaśnił mnie mój przewodnik otwierając drzwi i zapraszając do obszernej izby. Przywitał nas blask słoneczny aż zmrużyliśmy oczy, ale jednocześnie uderzył falą mróz, bodaj że jeszcze większy niż na dworze.

Lokal był świeżo odnowiony, nawet ładnie i czysto wyglądał. Trzeba było tylko ciepła.

- Opał Prezydium zapewniło - objaśniał Gimel. - Trzeba by tylko wypełnić te puste sale życiem świetlicowym. Ten pokój chyba będzie odpowiedni dla Biblioteki? Sąsiedni byśmy przeznaczyli na czytelnię i gry towarzyskie, mogłyby tu się odbywać dyskusje o książkach, wspólne czytanie... Dalej nauka gry na instrumentach, następną salę przewiduje się na zajęcia zespołów: tanecznego, chóru, teatralnego. Gdyby tylko dało się takie zespoły zorganizować... Wczoraj byłem w spółdzielni tkackiej, gdzie pracuje dużo młodzieży z Ukty, Wojnowa i okolicznych wiosek, byłem w GS w szkole... Na jutrzejszy wieczór zaplanowaliśmy zebranie młodzieży. Ma się odbyć w Tkalni.

- A jak z kierownikiem świetlicy? - Spytałem. Wiedziałem, że jeszcze w lecie kierownik oddziału pertraktował w tej sprawie z Makarowskim, bratem mojej bibliotekarki, ale ostateczny wniosek był mi nieznany.

- Waha się. Może i przyjmie. Ale o tym, by porzucił nauczycielstwo i przeszedł na etat kierownika świetlicy, nie ma co się łudzić. Nie zgadza się nawet na przyjęcie ryczałtu. Tłumaczy się nawałem pracy pozalekcyjnej, a najważniejszą przyczyną jest obawa, że nie będzie się mógł żadną pracą wykazać.

- Przynajmniej jasno sprawę stawia - zauważyłem.

- Tak jest.

Po chwili Gimel zapytał:

- Czy prawda, że istniało tu kiedyś życie świetlicowe?

- Prawda! Istniał tu zespół teatralny, chór. Pamiętam te zespoły z ich występów w Mragowie, a zespół teatralny brał udział w eliminacjach

centralnych w Warszawie. Wystawiono wówczas „Wesele Mazurskie”.

- Dlaczego teraz jest taki zastój-ciekawił się Gimel.

- Rzeczywiście, jest to ciekawe zjawisko. Myślę, że na ten fakt składa się wiele różnych spraw biorących się z życia codziennego. Wyczuwam, żeśmy się znaleźli na krańcach jednego etapu, a do drugiego nie możemy znaleźć właściwej ścieżki. Zjawisko to winno się stać przedmiotem jakichś zorganizowanych dociekań, co przyniosłoby jakieś nowe koncepcje i rozwiązania...

Kierowaliśmy się już w stronę drzwi wyjściowych, gdy na progu ukazał się sekretarz Prezydium GRN, Sidorenko, a za nim stary Makarowski, ojciec chorej bibliotekarki. Zaczęli się ze mną witać jakby z tym, którego brak było do zamknięcia jakiejś całości. Z sekretarzem nie widziałem się od czerwca, kiedy to z ramienia „powiatu” sprawowałem nadzór nad spisami rolnymi w Ukcie. Sidorenko się wówczas solidnie napracował nad tymi cyferkami. Gdy mu się coś w nich nie zgadzało, zaczynał najpierw trześć łysinę, a później pędził na kufel piwa do gospody. Sprawami kulturalnymi interesował się bardzo, co najjaskrawiej było widoczne w jego staraniach o zapewnienie placówkom kulturalnym możliwych warunków pracy. Teraz chciał mi pokazać odremontowane pomieszczenia na świetlicę i bibliotekę, więc jeszcze raz przeszliśmy się po pokojach. Sidorenko nie bez pewnej dumy mówił o nowym lokalu dla świetlicy i biblioteki, zapewniał, że zaraz przyjdzie sprzątaczką i w piecu napali, że już zamówił furmankę do przewiezienia szaf i książek. Naturalnie cieszyłem się z tego głośno, chwaliłem ten akt dobrej woli ze strony sekretarza, wyrażałem również nadzieję, że obie placówki na tym połączeniu zyskają.

- Czy Gizelka jest mocno chora? - zagadnąłem starego Makarowskiego.

- Już jest jej lepiej. Za dwa dni na pewno przyjdzie do biblioteki.

- Co jej jest?

- Przeziębienie.

- Niech poleży, aż zupełnie wyzdrowieje - poradziłem. Niech się nie śpieszy. Dziś przeniesiemy bibliotekę, a jutro uporządkuje się księgozbiór.

Zaraz też rozeszliśmy się każdy do swoich zajęć. Było już południe, a przed nami tyle pracy z tą przeprowadzką. Wchodziła w grę ewentualność, że furmanka może nie nadejść na czas, a może w ogóle się nie zjawić. Wyjaśniłem więc Gimlowi, w jakiej kolejności ma brać książki z półek i wiązać je w paczki, a sam poszedłem do biura Prezydium, mieszczącego się w przyległych pokojach, do telefonu. Za kilka chwil rozmawiałem z kierownikiem szkoły przedkładając prośbę, by przysłał kilkunastu uczniów do pomocy w noszeniu książek. Naturalnie zgodził się bez wahania przyrzekając pomoc na godzinę czternastą. Miałem więc pomoc zapewnioną. Spodziewałem się, że kierownik mi nie odmówi i nie zawiodłem się w swoich przypuszczeniach. Z kierownikiem szkoły znałem się od listopada. Pan Hamermajster był przecieży organizatorem tej biblioteki. On ją uruchomił w roku 1949 i on wpisywał pierwsze „woluminy” do księgi inwentarzowej. On pierwszy rozpoczął wypożyczanie książek. Być może, dlatego pielęgnował w sobie sympatię dla biblioteki i przejmował się wszystkim, co się z nią wiązało. Moja znajomość z nim datuje się od grudnia 1950 roku, kiedy to pierwszy raz „wizytowałem” placówkę. Wynieśliśmy z tej wizyty wspólne zrozumienie zadań stojących przed tą placówką w tamtejszym środowisku.

Dobrze jest mieć sprzymierzeńca dla swoich spraw w dalekim terenie. Człowiek czuje się wtedy o wiele pewniej.

Nie zdążyliśmy powiązać wszystkich książek w paczki, spakować katalogów i kartotek, a już dzieci stanęły w dwuszeregu do wykonania czekających zadań. Przyprowadził ich młody pedagog, brat Gizeli, ten sam, którego kaptowano do objęcia świetlicy. Ustawiłem ich w rzędzie, jedno za drugim, z surowym przykazaniem zapamiętania, kto za kim stoi, by w takiej

kolejności brali książki i w takim samym porządku składali je tam, w nowym lokalu. Zrozumieli naturalnie w lot, zabierając się ochoczo do dzieła. Gimel wydawał paczki, młody Makarowski zobowiązał się do pilnowania porządku na trasie, a ja z pierwszą partią pomocników pomaszerowałem do nowego lokalu bibliotecznego. Tam składaliśmy paczki wprost na podłozę według ustalonego porządku i kolejności. Niestety, nie dało się utrzymać tego rygoru. W trakcie noszenia książek któryś z uczniów podstawił swojej koleżance nogę, drugi wyspał jej śniegu za kołnierz, wkradł się chaos i zamieszanie. A już pod koniec tej imprezy zapanował zupełny rozgardiasz.

Korytarz i schody zaczęły rozbrzmiewać tupotem licznych nóg i śmiechem niepoohamowanej młodości. Nie mogłem brać im tego za złe, że chcieli trochę podokazywać. Wszak było już po lekcjach. I tego, że gdy wychodziłem z korytarza na ulicę w grupie ostatnich urwauć, otrzymałem podobnie jak i oni niezłą porcję śnieżek wycelowanych z precyzją przez tych, którzy zdążyli swoją powinność noszenia książek wykonać. Stałem na schodach obserwując przez dłuższą chwilę igraszki młodzieży. Kule śniegowe krążyły gęsto, a wraz z nimi różne wykrzyki i nawoływania, raz po niemiecku, raz po polsku.

Niespodziewanie w całą tą zabawę wtoczył się wóz z szafami bibliotecznymi, pilotowany przez Gimla i młodego Makarowskiego. Dzieciarnia obskoczyła ten pojazd jak stado wróbli. Po paru minutach miałem już bibliotekę na górze. Najwyższy czas, bo już i zmierzch zaczął się sączyć przez szyby okienne. Żarzący się w piecu węgiel nabierał w tym mroku coraz to intensywniejszej barwy, rzucając smugę światła na podłogę. Zapaliłem lampę i stanąłem z nią nad stołem książek na podłozę. Widziałem, że starczy mi pracy do późna w nocy na cały jutrzejszy dzień. Starczyłoby nawet na cały tydzień, toteż, nie zwlekając, zabrałem się do roboty. Z ustawieniem sprzętu nie miałem zbytniego kłopotu. Cztery szafy biblioteczne, dwa stoły, tyleż krzeseł, oto całe „umeblowanie” biblioteki. Odgłos przesuwanych szaf i krzeseł odbijał się echem po zakamarkach sprządzając coraz to nowych gości z książkami. Gimel z Makarowskim gdzieś się ulotnili, byłem zupełnie sam w tym pustkowiu, więc te niespodziane odwiedziny były mi nawet na rękę. Ponadto cieszyłem się z faktu, że oto już zdążyli się dowiedzieć o nowym lokalu biblioteki i że oto idą w ślad za nią - z książkami i po książki. Tłumaczyłem im jak najuprzejmiej, że biblioteka jest nieczynna z powodu przeprowadzki i z powodu choroby bibliotekarki. - Będzie czynna za cztery dni - wyjaśniłem.

Zapaliłem drugą lampę /Gizela miała ich całą kolekcję/ i wystawiłem ją na korytarz z myślą o tych, którzy mogą jeszcze ewentualnie nadejść. W korytarzu bowiem i na klatce schodowej panowały przysłowiowe egipskie ciemności. Przyszło jeszcze kilka osób, wśród nich dzieci. Te ostatnie powtarzały szeptem: „... za cztery dni... w środę...” jakby chciały dokładnie sobie ten termin zapamiętać. Słychać było stukot obcasików ich butów na korytarzu, potem na schodach, wreszcie ginęły gdzieś na dole w głębi budynku.

Po pewnym czasie znowu skrzypnęły drzwi wejściowe. Właśnie niosłem spod ściany paczkę książek, gdy ten ktoś stanął w świetle lampy lokując czapkę wraz z dwoma książkami na stole. Był to czytelnik „dorosły”, w granicach wieku 16-17 lat. Gdy się znalazłem w zasięgu światła, wtedy dopiero powiedział:

- Dobry wieczór ... panu ! -

Wyczułem w tych słowach nutę zdziwienia. W pewnej sekundzie uświadomiłem sobie, że przecież tego młodzieńca znam...

- Ach, dobry wieczór! - odpowiedziałem rad z tego spotkania. - To tobie w zeszłym roku ściągnąłem czapkę z głowy, wtedy gdys tak „wyczyniał” w bibliotece.

Przypomniała mi się nagle cała ta scena. Był ciemny listopadowy wieczór. Zjawiłem się wówczas niespodzianie w Ukcie i korzystając z chwili wolnego czasu zajrzałem do Biblioteki. Trafikiem w sam środek istnej batalii. Grupa wyrostków wodziła się za głowy, ciągnąc za sobą stoły, krzesła i co tylko znalazło się pod ręką. Na próżno unosił się nad nimi rozpaczliwy głos Gizeli. Wrzasnąłem na nich, by się natychmiast uspokoiли, a właśnie temu największemu ze wszystkich ściągnąłem czapkę z głowy.

Chłopak teraz stał przede mną bynajmniej nie zrażony przypomnieniem. Owszem, wy dobyłem na jego twarz przebłysk energii i ruchu.

- Czy jeszcze i teraz lubisz tak rozrabiać? - spytałem.

- Jak się zdarzy! - odpowiedział bez wahania.

- Chciałbym się zobaczyć teraz w takiej roli. Myślę, że byłoby ci z tym niezmiernie do twarzy. A już i wąs, widzę, sypie ci się pod nosem.

- Tak, Horst - dodałem - lata lecą. Usiadłem przy piecu, podsuwając drugie krzesło gościowi.

- Siadaj.

- Przyszedłem książki zmienić.

- Nie widzisz, że biblioteka jest w proszku?

Gwarzyliśmy przez jakiś czas o różnych sprawach dotyczących Ukty i okolic. Dowiedziałem się również w toku tej rozmowy, że mój przygodny rozmówca skończył w zeszłym roku szkołę podstawową, a teraz chciałby się wziąć do jakiejś roboty, pragnąłby zdobyć zawód. Dotychczas jest na utrzymaniu matki, ale przecież nie może to tak długo trwać, nęci go traktor i chyba zostanie traktorzystą.

- To świetnie, że masz takie zamiary - pochwaliłem.

- Ciekawią mnie książki o pojazdach mechanicznych i w ogóle o technice.

- Ach, to pewnie dla ciebie Gizelka wypożycza książki z Biblioteki Powiatowej na ten temat?

- Może i dla mnie.

- Kilka jej wypożyczyłem, ale za wiele też nie mamy w swoich zbiorach. A te, co są, będą na pewno za trudne dla ciebie.

- Będę sobie jakoś radził...

Gawędziliśmy jeszcze jakiś czas, potem wróciłem do przerwanej pracy. Mój "technik" sekundował mi w niej pomagając w ustawianiu książek na półkach. Po niejakim czasie, jakby sobie coś z nagłą przypomniał, powiedział "dobranoc" i znikł za drzwiami. Niebawem nastąpiła taka cisza, że aż w uszach dzwoniło. Usiadłem przy otwartych drzwiczkach pieca, w którym jarzyły się resztki węgla u zagłębiłem się w segregowaniu różnych szpargałów, nagromadzonych w bibliotece bez liku. Były to stare gazety, stosy broszur i ulotek o zwalczaniu chwastów, różne poradniki agitatora, które już dawno straciły aktualność, ulotne druki o zwalczaniu stonki ziemniaczanej, wszelkiego rodzaju stare plakaty itp. Po stronie "niepotrzebne" gromadził się niemały rozmiarów stos.

- Po co ta Gizelka tak konserwuje to wszystko! - zniecierpliwilem się. Szpargały wyzierały z każdego kąta wpływając tym ujemnie na i tak niezbyt estetyczny wygląd lokalu.

Segregując te materiały spostrzegłem nagle wypisany na kartce zeszytowej papieru urywek zdania kończący się słowami "...nasz Gołowicz". Zaciekawiony, co też to Gizelka może o mnie pisać, wyciągnąłem czym prędzej tę kartkę z gmatwaniny różnych papierzyk i przybliżyłem pod światło lampy naftowej. Były na tej kartce notatki o przepisach katalogowania, różne esy-floresy, piramidy, rysunki i rysunczki, robione ot, tak sobie dla zabicia czasu, a wśród płataniny widniał jeden "czterowiersz", niżej zaś drugi. Gizela pisała:

"Kierownik nasz Gołowicz
To jest chłop morowy
On wiele ciekawych rzeczy
Wbija nam do głowy".

- Ach, tak ! Przypomniałem sobie nagle.- To jest „pamiątka” z dwutygodniowego kursu bibliotekarskiego w Mikołajkach, jaki się odbył we wrześniu tego roku... Jakże to niedawne czasy, a już tak oddalone różnymi sprawami i natłokiem piętrzących się zajęć, że wydawały się zanikającym echem. A przecież wyniosło się z tego kursu tyle przyjemnych chwil. Mówię „wyniosło się”, albowiem z woli władzy wojewódzkiej /Wydziału Kultury i Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej/ pełniłem na tym kursie funkcję kierownika organizacyjnego, prócz tego miałem kilka godzin wykładów na temat „wizualnej” propagandy książki, czytelnictwa i bibliotek. Wdrażałem uczestników kursu - bibliotekarzy przybyłych tu z terenu województwa olsztyńskiego - w arkana sztuki posługiwania się stalówką „redis”, pisania „patykami”, sporządzania plakatów propagandowych, napisów informacyjnych itp. To stąd Gizelka zaczerpnęła to określenie „chłop morowy”...

Funkcję kierownika pedagogicznego kursu pełniła kierowniczka Powiatowej Biblioteki Publicznej, p. Halina Bartkowska. Jako „spec” od techniki bibliotecznej uczyła pani Bartkowska przepisów katalogowania, klasyfikacji, układania kart katalogowych w katalogi, objaśniając, co to jest katalog alfabetyczny i czym się różni od rzeczowego. Pobierała także tu „nauki” Gizela, szesnastoletnie dziewczę, mając za sobą zaledwie dwiesięciomiesięczny „staż” pracy bibliotekarskiej. Pracowała z zapałem, miała bowiem ambicję ukończenia tego kursu z wynikiem jak najlepszym. Śledziłem ją w toku różnych zajęć ugruntowując się w przeświadczeniu, że z tej dziewczyny „będą ludzie”. Nie kryła się ze swoim szczerym pragnieniem „rozczytania” współmieszkańców z Ukty i okolic, wśród których chowała się od dziecka. Stawiała sobie to zadanie na naczelnym miejscu. Natomiast w dalszej sferze jej projektów leżała potrzeba posiadania przez bibliotekę wzorowych katalogów bibliotecznych. Bywało, że książki z nowych przydziałów wydawała czytelnikom bez uwidocznienia ich w katalogach bibliotecznych. W konsekwencji wiele książek nie posiadało kart katalogowych, a tym samym jakby nie istniało dla czytelnika. Zresztą ostatnio, zapędzeni w różne akcje konkursów czytelniczych, nie mieliśmy w ogóle czasu na zajmowanie się takimi sprawami jak katalogi. Zagadnienie to zostało zepchnięte na dalszy plan jako czynność nie dająca żadnego efektu na zewnątrz. Istniały więc ogromne zaległości na tym odcinku pracy bibliotecznej i to zaległości występujące we wszystkich niemal bibliotekach. Bywały placówki biblioteczne, zwłaszcza te „na ryczałtach”, które nie posiadały żadnych katalogów. Czysty nonsens: biblioteka bez katalogów. Dobrze się więc stało, że w programie kursu przewidziano cały szereg godzin na tego rodzaju prace i że to zagadnienie powierzono tak doświadczonemu bibliotekarzowi jak pani Bartkowska z Biskupca. Właśnie pod jej adresem była skierowana ta druga strofka „utworu” mojej Gizeli. Spośród plątaniny kresek i przeróżnych znaków wyłowilem słowa - westchnienie:

„No, a pani Bartkowska,
Ta zawsze ma coś nowego.
Ach, z tym katalogowaniem
To jest coś okropnego”.

„ - Czekaaj, czekaaj Gizelka! Już ja cię przypilnuję z „tym katalogowaniem !” - pomyślałem. Zaważałem się, na który stos odłożyć tę kartkę, wreszcie włożyłem ją sobie między kartki notesu i zarazem zanotałem w nim, co następuje:

„Jednym z najważniejszych obecnie zadań jest opracowanie we wszystkich bibliotekach powiatu nie tylko katalogów podstawowych, lecz również katalogów tematycznych /np. powieści historycznych, książki dla gospodyń wiejskich, tematyka regionalna itp./”.

Węgłe już dawno w piecu wygasły, zaczynało być coraz chłodniej. Poczulem, że jest mi zimno. Suchy prowiant, zjedzony na obiad, nie dawał

organizmowi potrzebnej ilości kalorii. Zacząłem spacerować po pokoju bibliotecznym tam i z powrotem rozmyślając nad różnymi sprawami, a przede wszystkim nad tym, że warto by było iść spać, a przedtem zjeść gorącą kolację. Gimel zamówił dla mnie „kwaterę” i pożywienie u pani Gritzan, popularnie zwanej Griczanką, starej Mazurki, która utrzymywała coś a la hotel. Gdzie indziej na wsi trzeba było się martwić o nocleg i strawę, tu na szczęście ten problem odpadł. Staruszka, nie mająca w pobliżu żadnej rodziny /mąż zginął walcząc w szeregach Hitlera/, utrzymywała się z tego hoteliku i z paczek przysyłanych z Niemiec Zachodnich. Na ogół materialnie stała dobrze, tylko coraz bardziej dawał się jej we znaki uprzykrzony reumatyzm. Nawet leki otrzymywane z Niemiec niewiele skutkowały. Opowiadała mi nieraz ciekawe historie o tutejszych stosunkach przedwojennych, o Mazurach i Filiponach, zamieszkujących pobliskie wioski, o swojej Starej Ukcie, w której wychowywała się od dziecka. O Hitlerze wyrażała się z nieukrywaną złością topioną w słowie „Hund”. Pomimo starczych lat utrzymywała swój domek w idealnej czystości i porządku.

Niebawem zjawił się Gimel z Makarowskim. Rysio był w doskonałym humorze, albowiem jak się zaraz dowiedziałem, młody pedagog przyjął funkcję ryczałtowego kierownika świetlicy. Ucieszyła i mnie ta wiadomość - może wreszcie ruszy z miejsca ten trudny problem działalności świetlicowej. Pełni nadziei i różnych horoskopów maszerowaliśmy z Gimlem w stronę domku pani Gritzan.

Na wsi było cicho, przytulnie. Wszelkie sprawy dnia skupiły się teraz przy ognisku domowym. Wstęgi świątka sączącego się z okien kładły się w poprzek ulicy, po której szliśmy. Griczanka przyjęła mnie dość wesoło, przypominając, że już tyle czasu u niej nie byłem. Owszem, byłem kilka dni w lecie na spisie rolnym, ale dojeżdżałem z Mragową motocyklem. Zapewniła, że zaraz będzie kolacja, prosząc o zajęcie miejsca w sąsiednim pokoju. Siedziało już tam kilka osób, przeważnie pracowników Powiatowej Rady Narodowej, pełniących podobnie jak my służbę w terenie. Byli wśród nich starzy znajomi i koledzy. Nasze drogi niejednokrotnie spotykały się w różnych punktach powiatu. Musieli zostać na nocleg, gdyż w godzinach popołudniowych nie było w rozkładzie jazdy samochodu z Ukty do Mragowa. Można się było dostać do stolicy powiatu jedynie rano, o godzinie 5³⁰ lub w ciągu dnia jakąś „okazją”. Komentowali teraz swoje sprawy terenowe i ćmili papierosy.

Za godzinę byłem już w łóżku i zasnąłem natychmiast jak kamień.

- o - o - o -

Ranek wstał pogodny, ale mroźny. Reumatycy chwala taką pogodę i czują się weselsi. Stara Griczanka, uskarżająca się stale na łamanie kościach, dziś krzątała się zwawo po kuchni i była w pogodnym usposobieniu. Zapraszała do kawy, do jaj smażonych na słoninie, pytała z troskliwością, co przyrzadzić na kolację - „niech pan je, żeby pan nie był głodny”.

Gimel jeszcze spał, bo właściwie nie miał co do roboty w ciągu dnia. Przebąkiwał coś wczoraj, że na dziś wieczór jest zapowiedziane zebranie młodzieży, które ma się odbyć w spółdzielni tkackiej w sprawie pracy świetlicowej. Do wieczora jeszcze daleko, może więc pospać. Na mnie zaś czekało dwa i pół tysiąca książek wymagających uporządkowania. Udałem się więc w stronę biblioteki.

Słońce wyjrzało już zza Puszczy Piskiej, okolica była słoneczna i żywa. W prawo otwierało się rozległe pole, zamknięte na horyzoncie ścianą lasu, z bielejącą sylwetką klasztoru sekty Filiponów. Klasztor „skif”, o którym wspomina Wańkiewicz w „Na tropach Smętka”. Na lewo pod Nową Uktę podchodziła Puszcza Piska. W czerwcu tego roku, z ramienia powiatu, sprawowałem pieczę organizacyjną nad spisami rolnymi w Ukcie i

korzystając z kilkudniowego tu pobytu, wyrwałem się na motocyklu w głąb tej puszczy aż do Iznuty, nad jezioro Bełdan. Ciekaw byłem topografii tego zakątka i tej wioszczyzny żyjącej wśród lasów. Wspominał o niej w swym pamiętniku student - Niemiec ze Szczecina, który w roku 1925 przywędrował w te strony na „rajzę” wakacyjną, notując ze zdziwieniem, że przecież te ziemie zamieszkują Słowianie, którzy niewiele potrafią po niemiecku... Karczmarz ze wsi Iznuty znał tylko jeden język - polski. Gęstym gotykiem uzewnętrzniał ów student swoje wrażenia z pobytu w Ukcie, Wojnowie, Rucianach. Stwierdził krótko, że ta ziemia i ludzie na niej żyjący nie pasują do nazwy określającej się słowem: „Niemcy”. Z ciekawością pojechałem tam - jak to też „to” teraz wygląda. Na warkot motoru wyległo z chałup kilkoro starych ludzi - Mazurów, ciekawiąc się, kto za i po co tu przyjechał. Rzuciłem im pytanie, pierwsze z brzegu, jakie mi się w danej chwili nasunęło, czy mianowicie, w miejscowej szkole są ... książki do czytania. Pytanie mogło się wydać dla nich dziwne, pośpieszyli jednak z rzeczową odpowiedzią, że owszem, są, tylko kierownik szkoły wyjechał na rowerze, zapewne do Ukty i szkoła jest zamknięta. Postawiłem więc motor przed szkołą na skraju drogi chylącej się w stronę niedalekiej odnogi wodnej, nad którą dwóch turystów ślęczało z wędkami w rękach i zajęłem pozycję obserwacyjną na schodach wiodących do budynku szkolnego. Z tej wyniosłości obserwowałem polećka zielonego zboża, bujny las w niedalekim oddaleniu, okazały budynek na wzgórzu za tą odnogą wodną. Tuż za szkołą zaczynał się podmokły las liściasty, za którym podobno, jeśli wierzyć słowom przechodzącego chłopaczka, rozciąga się jezioro Bełdan. Zaraz też wzięła się nie wiadomo skąd ogromna burza z piorunami, które zaczęły bić jakby na wyścigi. Było coś wspaniałego w tym widoku. Obserwowałem przez ulewę tych dwóch turystów, którzy z godnym podziwu stoicyzmem stali z wędami w rękach na swych posterunkach. To była owa żyłka rybacka, zamknięcie niczym nieodparte.

Wracając z tego wypadu przemoczony, ale pełen jakiejś wewnętrznej uciechy. Już w Ukcie spostrzegłem, że tu wcale deszcz nie padał, że świeci słońce i że jest zupełnie sucho. Sidorenko pytał, czym czasem nie wpadł z motorem do Krutyni...

... To było w czerwcu, a teraz jest grudzień i jest zimno. Nad Puszcza Piską, gdzieś tam nad Iznutą, wisiała nieruchomo mgiełka.

W bibliotece ku mojej radości już napalono. Widocznie stało się to za sprawą sekretarza Sidorenki, który zapewne chciał tym jeszcze raz okazać swą pamięć o bibliotece i świetlicy.

- Poczciwy, stary Sidorenko... Nie wszyscy sekretarze rad narodowych interesowali się sprawami bibliotek w takim stopniu jak on. Ba, byli nawet tacy, którzy ani razu w czasie swojej kadencji nie zajrzeli do lokalu bibliotecznego. Świetlica, to co innego. Tu, jeśli był jakiś efekt, to się go w i d z i a ł o. Toteż na świetlice zawsze znalazły się pieniądze, na potrzeby zaś bibliotek - nie zawsze. Świetlica miała pomoc i poparcie wszystkich czynników, o zainteresowanie natomiast sprawami bibliotek i o właściwą ocenę wyników ich pracy trzeba było w a l c z y ć. Określenie „walka”, „walczyć” przewijało się często w górnych sferach bibliotekarskich. „-Trzeba umieć walczyć”- mówiono - trzeba się „bić” o swoje sprawy. Walczyć... Cóż z tego, kiedy bibliotekarze, z zasady spokojni, pogrążeni w swej pracy „przyziemnej”, nie zawsze potrafili się „bić”. Ot i teraz trzeba było tyle godzin poświęcić na samo uporządkowanie księgozbioru i katalogów w tej jednej bibliotece, a przecież jest ich tyle w powiecie. Praca żmudna, nie dająca efektów na zewnątrz, a przecież konieczna.

Zakrzętnęłem się więc wokół tych prac. Brałem poszczególne egzemplarze książek i ustawiałem na półkach w kolejności alfabetycznej wg autorów. Zacząłem od literatury pięknej jako działu najbardziej poczytnego i wymagającego tym samym rychłego uporządkowania. Szedł więc Amado z „Ziemią krwi i przemocy”, Babajewski z „Kawalerem Żłotej Gwiazdy”,

następnie Brandys i jego „Miasto niepokonane, Kraszewski, ten stary, niezmordowany gaduła, a przecież cieszący się wciąż nieustającym zainteresowaniem rzesz czytelnicznych ... A otóż i Michalska ze swoją „Helą traktorzystką”, Newerly prezentujący się „Archipelagiem ludzi odzyskanych” i zaraz Orzeszkowa, ta dzielna pozytywistka, podająca z kolei rękę „sercu serc” - Bolesławowi Prusowi. Reymont, Sienkiewicz, Turgieniew, słynny Wilczek z „Numerem 16” i na końcu „serce nienasycone”, pisarz-poeta, niezrównany mistrz prozy polskiej - Stefan Żeromski.

Równiutkie rzędy książek, jak żołnierze w szeregu, zaczęły zapełniać półki biblioteczne. Ogarneńchem je w pewnej chwili wzrokiem, delektując się tym nowym porządkiem na półkach. Zjawiła się też zaraz chwila zadumy nad tymi książkami. Wiele tytułów cieszyło się prawdziwym powodzeniem wśród czytelników, szły z rąk do rąk, wędrowały z biblioteki, wracały do niej z powrotem, by znowu wyjść do ludzi i tak bez przerwy. Żyły prawdziwym życiem. Widziałem wśród nich cały szereg książek, które nigdy nie opuściły swego miejsca na półce. A więc „Mirków”, który nigdy nie „ruszył”, różne „Rodziny Iebiodów”, „Mosty nad urwiskiem”, „Kampania, która znaczy walka”, „Sprawa jednego konia”, „Traktory zdobędą wiosnę” itd. itp. Wszelkie wystawy tych książek i plakaty propagandowe z takim mozołem i wielkim nakładem czasu wykonywane, nawet najpiękniejszy uśmiech bibliotekarki nie zdołały wcisnąć do rąk czytelnika tego typu literatury. Stały te utwory na półkach, znudzone i szare jakby w oczekiwaniu na litościwą decyzję przecięcia tego ich nikłego żywota.

Taki sam los dzieliły broszury o tematyce rolniczej. „Jak uzyskać wysoki plon konopi”, „Łąki i pastwiska”, „Zbiór plonów, „Chów koni w spółdzielni produkcyjnej” i im podobne - oto tytuły wydawnictw, po które nikt ręki nie wyciągnął. Albo cieniutkie zeszytiki cyklu wydawniczego Wiedzy Powszechnej. „Powrót z Akropolii” „Propyleje”, „Zabytki przedhistoryczne i sposób ich badania” są to pozycje niewątpliwie ciekawe, ale dla kogo? Dla Mazura, który nie może się uporać z o wiele prostszym słownictwem? Dla Filipona? Dla pracownika Geesu? Stała więc ta harmojnijka cieniutkich książeczek powiększając procent książek nie czytanych, niemal martwych.

Środowisko Ukty me angażowało się umysłowo w tego rodzaju zagadnienia.

Wiele książek więc nie „szło”, rozpierając niepotrzebnie półki biblioteczne. Identyczna sytuacja we wszystkich bibliotekach powiatu, województwa i ... chyba całego kraju.

- o - o - o -

Gdzieś koło godziny trzynastej zjawił się pierwszy tego dnia czytelnik. Natarte mrozem policzki tchnęły świeżą czerwiecią, a żywe oczy rozbiegły się po „nowym” lokalu bibliotecznym. Trzymana oburącz przed sobą niemałego formatu książka zasłaniała jedną trzecią tej „osoby”. No cóż, trzeba było wyłączyć się z toku pracy i tę młodą latorośl załatwić. Prezentowałem więc temu małemu obywatelowi kolejno tytuły: „Kaczkę dziwaczkę”, „Opowiedział dzieciółk sowie”, „Nikitka i jego przyjaciele”, „Baśń o ziemnych ludkach” i cały szereg innych pozycji. Okazało się jednak, że miałem przed sobą nie byle jakiego czytelnika. Na każdy proponowany tytuł odpowiadał niezmiennie: czytałem, czytałem, to już czytałem. Byłem w kłopotcie. Gizela na pewno wiedziała, co kto czytał, a czego nie czytał. Spostrzegłem jednocześnie, że dla takich małych brzdąców nie mamy za wiele książek w swoich bibliotekach. I rób tu z takim, co chcesz,

Gdym się wreszcie z nim uporał, przyszli inni. Trzeba było się pożegnać z zaplanowaną czynnością opracowywania książek. Nie mogłem przecież odprawić tych ludzi z kwitkiem. A przychodzili coraz to nowi. Mali, duzi i całkiem dorośli. Wśród nich trafiali się znajomi. Ci obie-

cywali sobie dużo z niespodziewanego spotkania ze mną /wiadomo - powiat!/
ujawniając nadzieję otrzymania „coś dobrego”. Jeden ze starszych czytelników, znany mi z jakiejś akcji prowadzonej swego czasu na terenie Ukty, spytał, czy „ewentualnie w waszej Bibliotece Powiatowej nie ma książek Karola Maya ? Bo tutaj nie ma”.

- U nas, niestety, też nie ma, - odpowiedziałem.

- To może jest „Głód” Hamsuna ?

Zadziwiłem się tym pytaniem. Skąd ten Mazur jest tak zorientowany w literaturze ?

- Czytałem kiedyś „Głód” w języku niemieckim, przeczytałbym jeszcze raz z wielką przyjemnością - mówił w tonie jakby pewnego usprawiedliwienia.

- Nie mamy tej książki - odpowiedziałem.

- A będzie ?

- Trudno mi powiedzieć - wzruszyłem ramionami. - Pan zapewne zna tragedię Knuta Hamsuna z czasów ostatniej wojny ...

Odgadł, co miałem na myśli. Powiedział :

- Panie „Głód”, to była pierwsza jego książka i właśnie Niemcy mu ją wydali. Nie mógł jej wydać we własnym kraju i może stąd ta kolaboracja ? Kto wie ?

- Chociażby - odparłem - ale czyż można było kłaść swój autorytet sławy literackiej w jedno łożysko ze zbrodnią i zdziczeniem ?

Po chwili pożałowałem tych słów. Przecież ten człowiek był także jakąś częścią tej maszyny hitlerowskiej. Czy chciał, czy nie chciał, ale był. Doznałem pewnej ulgi, gdy z kolei zapytał:

- A czy pan czytał „Błogosławieństwo ziemi” lub „Augusta Powsinogę” ?

- Czytałem bardzo dawno - odpowiedziałem.

- Myślę, że chciałby pan przeczytać po raz drugi.

- Istotnie, są to książki, do których się wraca - przyznałem.

Ciekawił się, czy i tych książek nie ma w bibliotece powiatowej. Odpowiedź negatywna spowodowała chwilę zadumy na jego zdrową, czerstwą twarz. Widać było, że nad czymś rozmyśla, a jednocześnie błędzi wzrokiem po nieokreślonej przestrzeni. Wreszcie zabrawszy swoją książkę, pożegnał się ze mną dość serdecznie i poszedł. Długo po jego wyjściu jakoś nie mogłem strząsnąć z siebie tych słów z nim zamienionych. Przeciwnie, rozrastały się one i mnożyły oplatając sobą wszystkie epokowe dzieła literackie, jakie poznałem w swym życiu. Uporczywie nastroczały się słowa Sałtykowa - Szczedriny: „... literatura nie podlega procesom rozkładu, ona jedna nie uznaje śmierci”.

Te mocne słowa układały się na stole razem z kartami czytelników urodzonych tu, w Ukcie i okolicznych wioskach. Literatura i ci oto ludzie:

Inga Fallag

Anita Lindenblatt

Helga Ścisło

Ilza Eichel

Hennig Ulrych

Winfried Mendzak

Otto Sonenberg

Horst Toszka

Armin Frankenstein

Irena Krassowska

Manfred Kendziora i cały szereg innych nazwisk o podobnym brzmieniu.

Literatura - autochtoni - bibliotekarz powiatowy i te wszystkie sprawy ...

A ot, chociażby ten Manfred Kendziora. Nazwisko to wypłynęło w Ukcie przed stu laty. Tak, to Emilia Sukertowa-Biedrawina pisze w jednej ze swych licznych prac o Mazurach o tym, jak to niejaki ksiądz Kendziora z Ukty, po przejściu na emeryturę, przemawiał na wiecach robotniczych jako „gorliwy socjaldemokrata” ściągając tym na siebie oburzenie i gniew ówczesnych władz pruskich. W innym miejscu czytałem wzmiankę tejże autorki

o tym, że w Starej Ukcie i okolicy na 3 tysiące dusz liczono zaledwie 60 Niemców... Mowa polska była więc powszechna w tych okolicach.

Znowu dziesiątki kart czytelniczych rozsypały mi się wachlarzem na stole. Jak w barwnym filmie rysunkowym. Inga Fallag, Helga Ścisło, Hennig Ulrych ... Nie, nie mogłem się już skupić nad katalogowaniem. Zacząłem więc przemierzać pokój z kąta w kąt, tam i z powrotem siląc się na wypracowanie jakiejś konkretnej linii polityki czytelniczej wśród tych ludzi.

Gdy znowu wstąpił po mnie, jak wczoraj, Ryszard Gimel przywitałem go pytaniem:

- Czy wiesz, co mówił niejaki Samuel Smiles, angielski myśliciel, filozof i moralista ?

Gimel wyraził najpierw milczące zdziwienie, ale będąc przyzwyczajony do tego rodzaju pytań z mojej strony, rzucił czapkę na stół i usiadł ciężko na krześle nie odzywając się ni słowem.

Stanąwszy przed nim ponowiłem pytanie, nie ustępując. Odparł ze zrezygnowaniem:

- Co mnie może obchodzić, co tam kiedyś powiedział niejaki Smiles, choćby to był nawet filozof !

- Otóż powiedział tak: „Książki noszą na sobie cechę nieśmiertelności. Są to najtrwalsze plody ludzkiej pracy. Świątynie wałają się w gruzy, obrazy i posągi rozpadają się w pył, a książki żyją wiecznie”.

- Widzę, że jest pan w doskonałym nastroju, a ja już mam dość tego wszystkiego.

- Co się znowu, do diabła, stało ?

- Jak pan wie - ciągnął zatroskany Gimel - miało się odbyć dziś w „Tkalni” zebranie młodzieży w sprawie świetlicy. Czekaliśmy z Makarowskim bite dwie godziny. Pan myśli, że ktoś przyszedł ?

- To źle - zasępiłem się - to bardzo źle !

- Pan powie panu Skowrońskiemu - ciągnął dalej swoją troskę Gimel - że zostaję tu na jutro, a może nawet jeszcze na pojutrze.

- Powiem.

- A więc jutro rano jadę z panem do Mrągowa.

Szliśmy z Gimlem na kolację do pani Gritzan. Kopuła nieba nabita gwiazdami opierała się swą podstawą - po lewej stronie gdzieś hen, aż o klasztor „staroobrzędowców”, po prawej o wierzchołek lasów niezgłębionej Puszczy Piskiej. Bielejący śnieżek podprowadzał wzrok aż do jej stóp.

Gimel nie reagował na moje zachwyty nad pięknnością tej nocy mazurskiej, więc szliśmy w milczeniu.

- No cóż - myślałem po cichu - czyż dotychczasowy model kulturalny nie staje się już przeżytkiem ? Czyż gazetka ścienna i tzw. „błyskawica” jako symbol tego modelu nie staje się obiektem martwym ? Nie zwracającym na siebie niczyjej uwagi ? To jest już przecież aż nadto widoczne. Profil teatralno - taneczno - chóralny także nie daje wiele korzyści, przeciwnie, staje się kosztowną fasadą nie wzbudzającą u ludzi pragnienia do aktywnego kształcenia w sobie nawyków kulturalnych o bardziej trwałych wartościach... W społeczeństwie natomiast, ot, choćby i tu, w Ukcie zaczyna już kiełkować pragnienie rzeczywistego awansu cywilizacyjnego, związanego z rozwojem przemysłu, ze wzrostem techniki, związanej z pracą i życiem na codzień. Nie jeden Horst zaczyna się już rozglądać za książkami technicznymi, coraz więcej kobiet zaczyna brać do ręki nieliczne jeszcze wydawnictwa z zakresu gospodarstwa domowego. Krawiectwo, kursy gotowania, kursy motorowe, szkoły lub jakieś kursy rolnicze, wszystko to winno się znaleźć w nowym modelu polityki kulturalnej na wsi.

Gdyśmy już wkraczali w progi domostwa poczciwej, starej Griczanki, podparłem Gimla otuchą:

- Nic się nie martw, Gimel. Jutro przyjdą na pewno.

O piątej rano byłem już na przystanku PKS. Termin odjazdu - za pół godziny. Nigdy nie wybierałem się do PKS-u w ostatniej chwili. Co prawda przeważnie wozy się spóźniały nieraz o godzinę, ale bywały wypadki wcześniejszych, niż to było w rozkładzie, odjazdów.

Ukta była pogrążona w głębokim śnie. Żadne światło nie ożywiało monotoni nocy. Widać było niewyraźne zarysy domów i ciemne pasmo ulicy wiejskiej ginące z oczu już w niedalekim oddaleniu. Od strony Rucianego miał nadlecieć oczekiwany pojazd. Tymczasem zaczęli się zbierać coraz liczniej przyszedli pasażerowie. Rozpoznawali się w mroku, gdyż co i raz było słyhać przyciszone jakby w obawie, by kogoś nie przebudzić „Gut Morgen”.

Niedługo zebrała się dość pokaźna grupa wyczekujących, interesując się, czy aby niebo od strony Rucianego nie zabarwiło się na kolor zwiastujący zbliżanie się samochodu.

Mróz zaczynał szczypać za uszy.

Nadszedł punktualnie. Wyleciał zza zakrętu kładąc się światłami na drodze i z sykiem stanął na swoim miejscu. Znalazłem wolne miejsce w tyle wozu. Wyraziłem wobec swej sąsiadki z lewej strony zdziwienie, że aż tyle ludzi jedzie do Mrągowa.

- Chyba na targ ? - spytałem.

- Panie, toć to dziś niedziela - roześmiała się współpasażerka.

- Ach, to niedziela...

- Na zebranie jedziemy do „stolicy” - wyjaśnił ktoś z przeciwka.

A więc jedziemy. Znowu ten sam szlak drogi, tylko że powrotny. Krutynia, później Zgon, Stary Kiełbak, Nawiady, Piecki...

Wyjazdy i powroty.

Wnętrze samochodu wypełniło się rozgwarem głosów i dźwiękiem grających szyb.

Na przystanku w Krutyni znaleźliśmy się wnet. I wtedy właśnie spostrzegłem, że jedzie ta sama konduktorka, to chuchro, która tak niezdarnie sprawowała się dwa dni temu w drodze do Ukty. O, teraz to co innego ! Krzyknęła energicznie „Krutynia”, nacisnęła dzwonek i już trzasnęła wieczkiem skrzyneczki z biletami. Nie, to nie ta sama dziewczyna. Miała opanowane ruchy, pewność siebie, śmiałe spojrzenie. W mig załatwiała teraz czynności biletowania. Niedługo, a już do naszej grupy zwróciła się z pytaniem: dokąd ? Zainkasowała pieniądze i przedziurawiła kilka biletów do Mrągowa.

Z pewną satysfakcją patrzyłem na jej pracę, ciesząc się sam nie wiedząc dlaczego z faktu opanowania przez nią tych umiejętności.

Dzielna dziewczyna !

- Zgon, Stary Kiełbak, niedługo Nawiady ...

Gdy moja konduktorka zaanonsowała kolejny przystanek, tym razem o nazwie „Piecki”, jakby mię ktoś zanurzył nagle w lodowej wodzie. Spadła na mnie całym ciężarem sprawa tej biblioteki ... i tej bibliotekarki ! Starąłem się o tym nie myśleć, w czym walnie mi pomagała obserwacja procesu pracy świeżo upieczonej konduktorki. Aż się narzucała w oczy tak doskonałym opanowaniem techniki swego „zawodu”.

- Ostatecznie, to nie biblioteka - próbowałem rozpatrywać zagadnienie właśnie od tej strony. Tu jest tylko pieniąż i bilet, tam całe bogactwo literatury i człowiek. Trzeba nie byle jakich umiejętności, by te dwa elementy ze sobą powiązać.

Ale swoją drogą, gdyśmy stanęli na ostatnim przystanku, pod okapem dworca PKS w Mrągowie, w chwili gdy konduktorka wyskoczyła przednimi drzwiami na chodnik, a ja tylnymi i gdy ona krzyknęła „Mrągowo” - ja, nie wiem, z jakich pobudek uniosłem czapkę z głowy, powiedziałem jej „do widzenia” i dopiero wówczas, ogarnięty wysypującym się z samochodu tłumem, pociągnąłem w stronę miasta.

O MOJEJ PRACY W BIBLIOTECE

Gdy byłam jeszcze małą dziewczynką, moim ulubionym zajęciem było przeglądanie książek. Bardzo lubiłam się grzebać w książkach, ustawiać je po kolei na półce w szafie. Lecz bibliotekarką nie miałam zamiaru zostać, bo nie wiedziałam jeszcze wtedy, że biblioteka istnieje.

Gdy zaczęłam chodzić do szkoły, na zapytanie nauczycielki, kim chciałabym w przyszłości zostać, odpowiedziałam, że przedszkolanką, bo bardzo lubię dzieci i często wolne chwile poświęcałam dzieciom. Bawiłam się z nimi lub opowiadałam bajki.

Tak więc, gdy tylko skończyłam szkołę podstawową, poszłam się uczyć na wychowawczynię przedszkola. Miałam wtenczas 13 lat. Lecz nie skończyłam szkoły, bo gdy pewnego razu przyjechałam na wakacje do domu, koleżanka akurat zwolniła się z biblioteki i zaproponowała mi, abym pracowała. Po długim namyśle zdecydowałam się i nie poszłam więcej do szkoły - zostałam bibliotekarką. Słowo „pracować” wymawiałam zawsze z dumą, bo ja, 15-letnia dziewczyna, już pracuję i jeszcze w takiej bibliotece, o której kiedyś marzyłam. Zabrałam się więc do pracy z wielkim zapałem. Lecz zapał mój powoli szał, gdy zaczęli przychodzić do biblioteki chuligani, którzy mi bardzo psocili, prawie codziennie zalewałam się łzami, bo co ja już miałam robić, kiedy wszyscy wyzywali mnie od smarkaczów. Zaczęłam wtedy już żałować, dlaczego się zgodziłam, a nie poszłam dalej do szkoły. Trwało to tak aż do czasu, gdy wysłano mnie na jednomiesięczny kurs do Jarocina /k/Poznania/. Nauczyłam się wielu rzeczy z bibliotekarstwa i nabrałam doświadczenia.

Gdy wróciłam znów z powrotem do mojej biblioteki, byłam już zupełnie inna. Zaczęłam wszystko robić tak, jak nauczyłam się na kursie, poznałam też lepiej literaturę. Dużo także cennych wiadomości zdobyłam na seminariach szkoleniowych, które odbywały się raz w miesiącu w Powiatowej i Miejskiej Bibliotece w Mrągowie.

Lecz z chuliganami ciągle jeszcze miałam kłopot, przychodzili wieczorami, niektórzy nawet pijani i siedzieli do późna, nie pozwalając mi iść do domu, kiedy mi się kończyły godziny urzędowania, tylko wtedy, gdy oni zechcą.

Psocili wtedy bardzo, miesza mi karty czytelnika i karty książki /tak, że ja pół dnia musiałam stracić, a żeby znowu wszystko doprowadzić do porządku/, śpiewali i krzyczeli głośno, grali w karty oraz wyszydza mi i wyśmiewali. Doprowadzali mnie do rozpacz, nie wiedziałam już, co mam robić, bałam się poskarżyć w Grom. Radzie, bo może by mi jeszcze gorzej dokuczali.

Postanowiłam w końcu nie dać się im i sama ich uspokoić. Kosztowało mnie to bardzo dużo, zaczęłam więc z początku zainteresować ich książką. To oczywiście nic nie pomogło, było jeszcze gorzej, bo musiałam wysłuchać dużo nieprzyjemnych słów i drwin, którymi mnie obdarzano.

Lecz w końcu wpadłam na pomysł, aby sprowadzić do Biblioteki gry /szachy, warcaby, domino itp/. Bardzo mi się to udało. Przychodzili nadal, ale już zachowywali się lepiej i mniej mnie złościłi, grali w szachy lub w warcaby.

Odniosłam więc pierwsze wielkie zwycięstwo, że ich czymś zainteresowałam. Niektórzy nawet zaczęli interesować się książkami, które najpierw pokrótce musiałam opowiadać i to tak, aby ich zainteresować. Raz mi się udawało, a raz nie.

Tak więc przepracowałam pierwszy rok w bibliotece, który był bardzo trudny i niedoceniany przez społeczeństwo. Lecz potem było mi już o wiele łatwiej, nabrałam wprawdy, bardzo pokochałam książki i sta-

rałam się być zawsze uprzejma i uśmiechnięta, pomagało mi to usunąć wszelkie przeszkody i zjednać sobie czytelników. Nie żałuję już, że zostałam bibliotekarką, bo przecież dzięki moim staraniom chuligani nabrali zaufania do książek, często wypożyczają i zrobili się w ogóle innymi ludźmi, a do mnie odnoszą się z szacunkiem.

Odetchnęłam wtedy z ulgą, że nareszcie zdobyłam zaufanie i sympatię u czytelników, w dodatku u tych najgorszych i poczułam z radością, że mnie wszyscy polubili.

Po pewnym czasie połączyli świetlicę razem z biblioteką. Było mi to bardzo na rękę, bo zorganizowałam zespół czytelniczy i prawie co drugi dzień czytaliśmy najciekawsze książki i dyskutowaliśmy nad ich treścią.

Zainteresowałam moich czytelników najciekawszą literaturą, propago wałam nawet książki rolnicze, które jednak nie cieszyły się specjalnym powodzeniem. Natomiast u kobiet cieszyły się dużym zainteresowaniem książki z medycyny i o gospodarstwie domowym. U mężczyzn zaś techniczne, fachowe, no i oczywiście o motoryzacji.

W tym okresie byłam już na dwu dwutygodniowych dla bibliotekarzy gromadzkich kursach w Mikołajkach, z których wyniosłam dużo wiadomości.

Bardzo dużo zdobyłam sobie czytelników dorosłych, jak również i dzieci szkolnych. Na koniec 1955 r. było u mnie w bibliotece 295 czytelników. W roku 1956 miałam już coraz więcej, bo 310. W roku 1957 liczba czytelników w bibliotece wzrosła do 402, w tym dzieci szkolnych 120, a wypożyczeń pod koniec 1957 r. było 4.625. A w roku 1958 czytelników było już 424, w tym dzieci szkolnych 157, a wypożyczeń 8.343. Jak widać, co roku przybywało do biblioteki coraz więcej nowych czytelników.

Postanowiłam zwrócić szczególną uwagę na dzieci. Pojechałam więc na dwutygodniowy kurs do Kortowa pod Olsztynem, który był wyłącznie poświęcony pracy z dziećmi.

Gdy wróciłam do biblioteki, zaczęłam organizować wieczorki baśni i opowiadań oraz konkursy. Poświęcałam im wszystkie wolne chwile i zapał. Odżyła znowu we mnie dawna miłość do dzieci.

Różnymi imprezami zjednałam sobie bardzo dzieci i doszłam do przekonania, że dzieci są najwdzięczniejszymi czytelnikami - są szczerze i bardzo chętne do wszystkiego. Wykorzystałam więc ich chęci i zorganizowałam aktyw czytelniczy, składający się wyłącznie z dzieci szkolnych, który bardzo pomaga mi w pracy. Pomagał mi werbować czytelników dorosłych przez roznoszenie książek do domów, roznosić upomnienia, pomagał mi robić katalożki obrazkowe dla dzieci. Przynosiły także różne obrazki i stare „Świerszczyki”, które potrzebne były do robienia katalogów obrazkowych. Okładali książki w papier, podklejali zniszczone, uczyłam ich również korzystać z katalogów i wypożyczać książki. Doprowadziłam do tego, że każde dziecko, które wypożycza książki w mojej bibliotece, wybiera książki z katalogów zapoznając się przy tym z autorem.

Były wśród nich dzieci, które się bardzo słabo uczyły, zobowiązałam się więc, że im pomogę, starałam się zawsze, aby lekcje były starannie i ładnie odrobione i napisane. Jeśli czegoś nie wiedziały, przychodziły z zapytaniem do mnie, a ja im jasno i obszernie tłumaczyłam.

Zauważyłam, że dzieci mnie bardzo polubiły, starały mi się odwdzięczyć, przynosiły kwiaty i różne drobiazgi.

Miałam również kilka razy dzieci ze szkoły, które przychodziły do mnie na lekcje biblioteczne.

Bardzo chciałam założyć teatrzyk kukiełkowy. Zrobiłam już nawet kilka kukiełek, które mi się nie udały, gdyż brak mi było doświadczenia i pomocy. Dzieci codziennie pytały, kiedy nareszcie będzie coś z kukiełek, lecz, niestety, do tej pory nic nie zrobiłam, bo nikt nie myśli mi w tym pomóc, a ja sama nie dam rady.

Zaspokoiliam dzieci filmem, który wyświetliłam pożyczając rzutnik z Pow. Biblioteki w Mrągowie.

Tak więc, oprócz bajek i konkursów, wyświetlałam im zawsze jeszcze bajeczkę.

Z dorosłymi czytelnikami jednak nie udało mi się zorganizować żadnej imprezy, lecz bardzo byłam zadowolona z tego, że chętnie przychodzą do biblioteki, często wymieniają książki i długo przesiadują w bibliotece czytając czasopisma.

Zdobyłam bardzo dużo czytelników miejscowego pochodzenia, zainteresowałam ich najciekawszą literaturą i z zadowoleniem stwierdziłam, że coraz częściej zaglądają do biblioteki.

Na prośbę czytelników miejscowego pochodzenia zaczęłam domagać się o dostarczenie do biblioteki książek w języku niemieckim. Lecz nic z tego nie dostałam w ogóle. Niektórzy czytelnicy bardzo chętnie podarowali na własność biblioteki kilkadziesiąt ładnych książek niemieckich, a później dostałam jeszcze kilka książek niemieckich z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej.

Czytelnicy byli mi bardzo wdzięczni i tłumnie nawet zaczęli przychodzić po książki, Zdobyłam więc sympatię i zaufanie u wszystkich czytelników i jestem z tego bardzo dumna. Prawie z każdej rodziny z mojej miejscowości mam jednego czytelnika.

Jedną jedyną troską dręczy tylko moich czytelników i mnie. Biblioteka moja nie posiada czytelni, a sam lokal wypożyczalni jest bardzo mały i nie pomieści większej liczby czytelników, którzy teraz bardzo chętnie w długie wieczory mogliby poczytać prasę i książki.

Mamy małą nadzieję, że może w dalekiej przyszłości otrzymamy jeszcze jeden pokój obok wypożyczalni na czytelnię, ale to zależy tylko od Prezydium Gromadzkiej Rady.

Tak więc praca w bibliotece jest bardzo ciekawa i przez pięć lat, które przepracowałam, miałam i troski i radości, nie żałuję wcale, że zdobyłam ten zawód, a nie inny, kocham bardzo książki i chciałabym, ażeby wszyscy je pokochali, szanowali i uczyli się z nich.

- o - o - o -

Z.G."Pojezierze".Zam.1346.Nakł.530.Form.A4.R-7/157.



XV / 15

1967

Biblioteka Miejska
w Mrągowie

dżs



000-000011-00-0